№ 33. Warszawa, d. 1 (13) Sierpnia. 1870 roku.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5.— Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W téj summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.—w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Z Wiktora Hugo (Wiersz). —Kobiety-Podróżniczki przez Sewerynę Duchińską.— Wspomnienie Klarynecisty opowiedziane przez Erckmann'a i Chatrian'a przełożył Jan Chęciński.— Ekonomia domowa.—Natalja Borisówna Dołgorukowa powieść p. Furmanna. —Przegląd teatralny. — Korespondencja ze Lwowa. —Obrazy na wystawie towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie.

Z Wiktora Hugo.

Kiedy wszystko uśnie, z sercem ja wesołem
Siadam pod sklepieniem, co mi lśni nad czołem,
Słucham czy głos jaki z góry nie dolata...
I napróżno czas mię skrzydłem swojem trąca,
Gdy się duszą wpatrzę w bankiet ten bez końca,
Który Bóg wyprawia co noc dzieciom świata.

I ten blask nad ziemią wokół mnie uśpioną,
W moje tylko, zda się, spływa drżące łono —
Zda się, iż w nim czytać tylko jam wezwany....
Że ja, cień znikomy co tu chwilę gości, —
Jestem téj wspaniałéj król uroczystości,
Dla mnie tylko słońc tych płoną oceany.

Klemens Podwysocki.

KOBIETY PODRÓŻNICZKI

przez

Sewerynę Duchińską.

JOANNA BARET.

Sławny badacz przyrody Commerson, urodzony w roku 1727 należał do najznakomitszych uczonych francuzkich XVIII wieku. Był to człowiek umysłu czynnego, niesłychanéj odwagi i owéj dzielnéj woli, co popycha na najzuchwalsze przedsiewzięcia i wszelkie trudności przełamuje zwycięzko.

Rozpoczął Commerson naukowe wycieczki swoje od Alp i Pirenejów. Przebiegał zwykle sam niedostępne wyżyny i parowy, bez przewodnika, bez pieniędzy, bez zasobów żywności. Wracał też do domu chory i potłuczony, okryty mnóstwem ran, wyczerpany całkiem na siłach.

Dnia jednego, jakby nowy Absalon zawiesił się za włosy nad potokiem. Szczęściem że potok nie był głęboki, spadając zatrzymał się o kamień a przygoda cała skończyła się na sińcach i ranach małoznaczących.

W późniejszych latach, przedsięwziął ze sławnym Bougainvillem, naukową podróż w około świata. Tą podróżą przyczynił się znakomicie do postępu nauk przyrodzonych we Francji.

Kiedy miał już wsiadać na statek, młody Jan Baret, który służył mu gorliwie i wiernie od lat dwóch błagał najusilniéj, aby go zabrał z sobą. Przywiązany chłopiec, pragnął jak mówił, dzielić niebezpieczeństwa pana swego. Podróż w dalekie nieznane świata strony dziwnie go pociągała. Ponieważ Barth znał nieźle botanikę, że przytem służył z wielką przychylnością, Commerson uczynił zadosyć jego prośbom i postanowił zabrać go w podróż.

Tym mniemanym chłopcem była Joanna Baret, kobieta dwudziesto sześcio letnia, nieznaczącéj powierzchowności. Rysy jéj ani piękne, ani szpetne, nie znamionowały bynajmniéj téj siły charakteru jakiéj dała dowód, puszczając się śmiało na przygody. Obdarzona bystrem pojęciem, okazywała wielkie zdolności do nauk przyrodzonych, w botanice nawet uczyniła niezwykłe postępy.

W początkach przeprawy morskiéj nikt na okręcie nie domyślał się, że Joanna była kobietą. Sam Commerson znając ją od dwóch lat, bynajmniéj tego nie przypuszczał. Po kilku tygodniach jednak rozeszła się o tem głucha pogłoska wpośród majtków. Wątła budowa jéj ciała, głos dźwięczny, broda niezarosła, wszystko to obudziło podejrzenie.

Wprawdzie trudno było odgadnąć kobietę w tym niezmordowanym Barecie, który towarzyszył panu swemu w najniebezpieczniejszych wycieczkach, brnął z nim przez rzeki i topiele, darł się na strome urwiska Magielony, który objuczony zawsze jak koń nosił za nim dubeltówkę, zapasy żywności i zielniki. W końcu jednak przygoda w Taiti zamieniła domysł w przekonanie.

Commerson wysiadł z okrętu dla herboryzacji. Joanna jak zwykle niosła za nim zielniki. Ledwie że się oddaliła od brzegu, Taitianie z głośnym wykrzykiem poznawszy w niéj kobietę, oskoczyli ją w koło. Straż okrętowa nadbiegła w porę i wydarła ją z mocy dzikich.

Joanna Baret wyznała wtedy ze łzami, że oszukała pana. Urodzona w Burgundji, osierocona wcześnie po rodzicach, w skutek przegranego procesu przywiedziona do nędzy, postanowiła przebrać się po męzku, aby znaleść łatwiéj niezależne utrzymanie. Podróż około świata miała dla niéj powab niesłychany. Gotowa była na wszelkie przygody i niebezpieczeństwa, aby uczynić zadosyć wrodzonéj ciekawości.

Commerson nie miał wrócić do kraju z téj dalekiéj podróży. Złamany trudami umarł w Isle de France. Joanna doglądała go w chorobie jak ojca, własną ręką zamknęła mu powieki. Po jego śmierci oddała rękę wojskowemu, Antoniemu Barier.

Za powrotem do Europy utraciwszy męża, zamieszkała w Chatillon. Pamięć Commersona drogą jéj była do śmierci, całe mienie zapisała jego krewnym.

WSPOMNIENIE KLARYNECISTY.

OPOWIEDZIANE PRZEZ

ERCKMANN'A I CHATRIAN'A

PRZEŁOŻYŁ

Jan Chęciński.

(Dalszy ciąg.)

Nie trudno było przekonać się, że wuj Konrad jechał do Kirschbergu umyślnie, aby się dać Yeri-Hansowi zaczepić i z początku obawiałem się co z tego wyniknie. Przemyślałem jakimby sposobem przeszkodzić temu okropnemu spotkaniu, bo wysoki kanonier, nie mógłby nie przyjść pod *Złoty dzbanuszek*, dowiedziawszy się że tam jest wuj Konrad; byłem tego pewny sądząc z tego co mówiła matka Robichon. Co tu czynić? jak nakłonić wuja Konrada do powrotu?

Myśląc tak spoglądałem na niego ukradkiem, tymczasem wózek pędził; wujaszek zdawał się tak spokojnym, tak pewnym siebie, tak niezdolnym do zaczepki ze swoją dobroduszną minką, żem ani wiedział czego się chwycić.

Późniéj przyszła mi myśl że wuj Konrad może powalić Yeri-Hansa, że ich to poróżni i że wtedy nadęty kanonier nie mógłby się pokazać w Eckerswirze bez wstydu, że już nie będzie tańczył z Margredel. Ta myśl pocieszała mię skrycie. Następnie mówiłem sobie, że jeśli wuj Konrad słabszy od tamtego, to dla mnie jeszcze lepiéj; zwyciężony, nie mógłby patrzeć na Yeri-Hansa, przeklinałby go, zakazałby Margredel mówić o nim przy sobie, nazwałby go rozbójnikiem, hołyszem, i t. d. i t. d. Wiem że to była zła myśl, ale cóż chcecie?.. Kochałem Margredel, a podejrzenie że cyganka może przyszła do niéj z Kirszbergu, niepokoiło mię; miałem wstręt do Yeri-Hansa jak do zarazy, od chwili, gdy sobie przypomniała że tańczył z nią przed siedmiu laty. Nareszcie, nie chcę ukrywać ani złego ani dobrego, mówię wszystko jak było. Myślałem nawet że gdyby kanonier nie przyszedł pod *Złoty dzbanuszek*, wujaszek by nim pogardził; tak więc w każdym razie Margredel nie zobaczyła by więcéj pana Yeri.

Nie pragnąc już wcale odwrócić wuja Konrada od

Kirschbergu, lękałem się tylko, aby on sam nie poszedł po rozum do głowy i nie zawrócił do Eckerswiru, czy to z bojaźni czy też z jakiego innego powodu.

Już naprzód wyobrażałem sobie tego wybujałego kanoniera leżącego na ziemi, i naśmiewałem się w duszy. Otóż to tak ludzkie myśli zmieniają się w jednéj minucie, kiedy interes osobisty pokieruje niemi.

Nareszcie około jedenastéj godziny, wioska Kirschberg ukazała się na pobrzeżu wpośród drzew owocowych; wielki folwark starego Yeri-Hansa pod lasem i małe domki z poddaszami, szopami, wzdłuż gościńca.

Zbliżaliśmy się żwawo; karczma pod *zielonem drzewem* i pierwsze domy poprzegradzane gromadkami zmiecionych liści, potarganéj słomy albo chrustu, wkrótce pozostały daleko za nami.

Wuj Konrad na widok *Złotego dzbanuszka* na zakręcie drogi, po lewéj ręce zaciął konie, a w tejże samej chwili, dyliżans pełen rekrutów w niebieskich bluzach i czerwonych czapeczkach przeleciał jak grzmot. Wyjechał z oberży; brama jeszcze była otwarta, wielu innych popisowych, werbowników, starców, kobiet i kilka dziewcząt stało na drodze kłaniając się tym, którzy odjeżdżali i którzy powiewali czapkami przez wszystkie okna dyliżansu. Kilku rekrutów stojących na wierzchu, wznosili ręce i śpiewali roztwierając gęby po same uszy, ale turkot kół nie dozwalał ich dosłyszeć.

Pośród takiego zgiełku wjechaliśmy na dziedziniec oberży. Stajenny przyszedł po konie; zsiedliśmy z wózka a wujaszek otrząsając słomę z ubrania rzekł:

— Pójdź Kasprze, — pójdź, wypijemy butelkę *rangen* przed obiadem, potem udamy się do matki Kobus.

Poszedłem za nim, i wnet weszliśmy do sali gdzie było ludzi jak mrówek. Kilka kobiet płakało ocierając łzy fartuchem, inne się pocieszały pijąc białe wino i zagryzając *bredstelami*. Werbownicy palili poważnie tytoń z dużych porcelanowych fajek, a pani Diederich w wielkim tiulowym czepcu usadowiła swoją okrągłą, rozradowaną postać za kantorem, mając pod ręką szyfrową tablicę.

Z początku nie zwrócono na nas uwagi, ale gdyśmy zasiedli pod oknem przy końcu sali z prawéj strony, pani Diederich ujrzawszy nas, przyszła powitać wuja Kourada z wielce uprzejmą miną. Pytała go dlaczegośmy nie byli na uroczystości, jak się ma panna Margredel, czy wszyscy u nas cieszą się dobrem zdrowiem i t. d. Wuj również wesoło odpowiedział. Nareszcie pani Diederich odeszła i słyszałem jak mnóstwo osób szeptało około nas:

— Pan Stavolo z Eckerswiru... pan Stavolo.

I wzdłuż całego szeregu stołów, zwracały się głowy aby nas widzieć. Bednarz Gross siedzący blisko drzwi, rzekł ochrypłym głosem:

To człowiek najsilniejszy z Eckerswiru, pan Konrad Stavolo, znam go, ten by się nie uląkł Yeri-Hansa.

Wuj słyszał te słowa i widziałem po jego oczach że mu były przyjemne.

Nareszcie służąca przyniosła butelkę *rangen* i dwie szklanki na tacy; wujaszek napełnił je z powagą.

— Twoje zdrowie, Kasprze, — rzekł do mnie.

— Twoje zdrowie wyjaszku; odpowiedziałem.

W kilka minut potem, służąca przyniosła nam biszkopty na talerzu, bo osobom tak dystyngowanym jak wuj Stavolo, nie podają *knapwurstów* z bułeczkami, ale biszkopty lub makaroniki, aby ich uczcić.

Widząc to, zacząłem przypuszczać, że Yeri-Hans nie ośmieli się wyzwać wujaszka, i że gdyby to uczynił, mielibyśmy powód pogardzać nim, bo przecież ludzie tak poważani jak my, nie mogą z pierwszym lepszym brać się za bary. Mówiłem sobie, że wszyscy potępiliby zuchwalstwo tego chłopaka a tym sposobem, odnieślibyśmy zwycięztwo bez walki.

Od rana, drugi już raz myśli moje ulegały zmianie, kiedy nagle wysoki kanonier w wojskowym spencerze, uwydatniającym szeroką i wypukłą pierś, obcisłym jak dziewczęcy gorset,—w spiczastym kaszkieciku na bakier, z daszkiem podniesionym, — w szerokich pantalonach z szarego płótna, — z twarzą opaloną, niebieskiemi oczami, kształtnym nosem, wąsami blond wpadającemi w rude, uszami odstającemi, słowem rosły mężczyzna, krzepki jak dąb, przeszedł pod oknami, trzymając witkę leszczyny z kilkoma liśćmi na końcu, którą nie bez pewnego wdzięku powiewał. Za nim szedł bednarz Gross z zatopionemi w kieszeniach swojego fartucha rękami.

W dwie sekundy, drzwi otworzyły się i ten sam jegomość nie przestąpiwszy progu, nachylił się ku sali spoglądając na prawo i na lewo; potem wszedł na trzy schody z ręką otwartą blisko prawego ucha i rzekł.

— Moje powinne uszanowanie wszystkim razem i każdemu z osobna,

Na to młodzież zaczęła krzyczeć.

— Yeri! hej! Yeri prosimy tutaj!.... szklaneczkę!.. szklaneczkę z nami!

A on z wesołym uśmiechem szedł obok szeregu stołów, podając każdemu rękę, uderzając leciuchno po ramieniu starych którzy płakali i mówiąc im:

— Hej! ojcze Frantz... ojcze Jakóbie... dajcież pokój... cóż u djabła, miejcie odwagę... on wróci; przecież i ja wróciłem!

Na to starzy potrąsali głowami w milczeniu, albo zakrywszy twarz spracowanemi rękami, szeptali łkając:

— Daj mi pokój, Yeri; daj pokój!

W każdym razie można było poznać, że ten Yeri-Hans był dobrym chłopcem, nie mogę mówić inaczéj, ale to właśnie najbardziéj mię dręczyło; wolałbym żeby to był hołysz, nic dobrego, żeby Margredel ujrzawszy go, znalazła odrażającym.

Wuj Konrad udawał zamyślenie. Wydobył fajkę, nałożył ją spokojnie, potem zamiast zapalić wsunął napowrót do kieszeni i rzekł:

— Kasprze, dzisiaj pogoda.

— Tak mój wujaszku, bardzo piękna pogoda.

— Winogrona skorzystają do końca miesiąca.

— Zapewne; codzień z niéj korzystają.

— Będziemy mieli najmniéj sto miar wina w tym roku.

— Bardzo być może, wuju Konradzie; i to dobrego.

— Nieinaczéj Kasprze, ten rok wyrówna 1822, mieliśmy wówczas dobre, ładne winko, za które w trzy lata późniéj, braliśmy do trzydziestu pięciu franków za miarę.

W czasie tej rozmowy, wuj Konrad zdawał się przypatrywać kowalowi Martynowi, który naprzeciw oberży podkuwał konia, podtrzymując kopyto na swoim skórzanym fartuchu. Chciałem naśladować wujaszka, ale mimowoli patrzyłem ciągle na Yeri-Hansa, który zdawało się że nas nie widzi. Nareszcie Gross trącił go w ramię, com dobrze zauważył, ale Hans nie zaraz się odwrócił; powiedział jeszcze ze śmiechem kilka słów młodéj dziewczynie, która czule nań spoglądała, potem, pokołysawszy się trochę z miną człowieka zadowolnionego z siebie, obrócił się powoli na piętach i patrzył w naszą stronę.

Wuj Konrad z głową wspartą na dłoni, łokciem na stole, siedział do niego tyłem, ale po upływie minuty, biorąc do ręki szklankę, odwrócił się ku sali; wtedy Yeri-Hans udał że go dopiero poznaje.

— Ah! nie mylę się, — zawołał, — to pan Stavolo z Eckerswiru!

I zbliżył rękę do kaszkietu, salutując, a wuj nie podnosząc się wcale, z nosem w górę zadartym, z miną obojętną, odpowiedział niby zdziwiony:

— Prawda że jestem Stavolo z Eckerswiru, ale pańskiéj twarzy nie przypominam sobie.

— Jakto? nie poznajesz pan młodego Yeri, syna Yeri-Hansa zapytał kanonier.

— Ah! to ty Yeri, — rzekł wujaszek uśmiechając się troszkę; proszę, proszę.. wróciłeś z pułku? cieszy mię to.

— Tak panie Stavolo, jutro będzie dwanaście dni jak wróciłem do kraju, odrzekł Yeri. Nie słyszałeś pan o mnie?

— Wcale nie, wcale... odpowiedział wujaszek — mieszkam ztąd o trzy mile, a tak daleko nie można przecież mieć z dnia na dzień wiadomości, myślałem żeś jeszcze w Afryce.

Na to Yeri-Hans już nie wiedział co odpowiedzieć; przez chwilę spoglądał na mnie z pod oka, wreszcie odezwał się wesoło:

— Bo to.. widzicie ojcze Stavolo, człowiek troszeczkę ponadwerężał sobie żebra na uroczystości.. i daję słowo, myślałem... ha! ha! ha! myślałem że drzewiarz Diemer, węglarz Polack i trzech lub czterech innych z waszych dawnych znajomych donieśli wam coś o mnie...

— Coś?.. i cóżby takiego?

— Ha! choćby to, żem ich ułożył pod stołem.

— Aha! rzekł wujaszek, jesteś więc najsilniejszy znajsilnie jszych panie, Yeri?.. Przywiozłeś zapas figielków. podstępów wojennych?.. do pioruna, to nie żart! nikt już nie ośmieli się spojrzeć na ciebie dwójznacznie.. jesteś, jak to powiadają u szczytu sławy!

Mówił te słowa z miną tak śmieszną, że nie wiedziano czy drwił, czy nie drwił. Nawet wiele osób siedzących przy stołach, odwracało głowy aby ukryć chętkę do śmiechu.

Kanonier mimo brunatnéj cery poczerwieniał, i dopiero po jakiéj minucie odpowiedział.

— Tak to, tak panie Stavolo, pokładłem ich na grzbiety i jeśli Bóg pozwoli, nie będą ostatniemi.

Na to, policzki wuja zadrżały, a gdy chciał odpowiedzieć, Yeri-Hans rzekł.

— Przepraszam pana, ale tam moja szklanka.

— Bez ceremonji,—odpowiedział wujaszek ozięble.

Yeri-Hans usiadł naprzeciw nas przy innym stole, między kilkoma towarzyszami, którzy zatrzymali dla niego szklankę.

— Wasze zdrowie panie Stavolo! zawołał mrugając oczami.

— Twoje zdrowie Yeri-Hansie, — odrzekł wujaszek.

I rozmawiali ze sobą od jednego do drugiego stołu, podnosząc głos aby się dosłyszeć. Cała sala słuchała; co do mnie, radbym był odejść, żałowałem żem tam przyjechał. Wujaszek zdawał się młodszym o dwadzieścia lat, tak podnosił głowę, tak mu oczy błyszczały, ale zachował spokojność, tylko nos jego podobny do orlego dziobu, zakrzywiał się hardo a siwe włosy zdawały się powstawać około uszów.

— Tak tedy panie Stavolo, zawołał kanonier ze śmiechem, nie słyszeliście nic o uroczystości? To dziwne!

— Dlaczego?

— Bo w panu, człowieku dawnéj daty, o którym powiadają że piekielnie straszny w potyczkach, zdaje mi się że wiek nie zdołał ostudzić krwi i że cię te rzeczy musiały obejść. Wszakże widzimy jak konie kawaleryjskie choć stare, strzygą uszami i rżą posłyszawszy trąbkę wzywającą do szturmu... Ale prawda, starość zawsze starością!

Wujaszek zbladł, jednak chciał się jeszcz powściągać, więc odpowiedział:

— Konie są zwierztami mości Yeri, człowiek zaś w wieku, powinien mieć rozsądek. Ty mój chłopcze jeszcze nie rozumiesz tego, ale to przyjdzie i do twojéj mózgownicy, młodym ujdzie bić się na wszystkie strony, ludzie jak ja dojrzali pokazują się rzadko, ale gdy się pokażą, umieją dowieść że stara krew jest jak stare wino, nie musuje, ale rozgrzewa.

Mówiąc to, wuj Konrad miał w sobie coś pięknego i słyszałem jak w całéj sali starzy szeptali między sobą.

— Otóż to się nazywa mówić.

Nawet kanonier przez chwilę patrzał na wuja z poszanowaniem, potem rzekł:

— Bądź co bądź, chciałbym cię był widzieć na uroczystości, panie Stavolo. Jeżeli sam przestałeś już walczyć, byłbyś przynajmniéj wydawał sąd o drugich.

— Widzę że chcesz koniecznie dać mi do zrozumienia żem stary, nieprawdaż? żem do niczego, że tylko mogę siedzieć za stołem i wrzeszczeć jak baby aj! miłosierny Boże!.. oni sobie zrobią co złego!.. rozdzielacie ich! Otóż mylisz się Yeri; spojrzyj no mi w oczy; jeżeli ja przybędę na uroczystość, to dla tego aby ci pokazać twojego mistrza.

— Oh! Oh!

— Tak chłopcze, twojego mistrza, bo kto się głośno przechwala, wart nauczki ale dziś przybyłem tylko aby nakupić prosiąt od matki Kobus.

— Prosiąt! wrzasnął Yeri-Hans wybuchając śmiechem.

Wtedy wuj wstał blady jak płótno krzycząc straszliwym głosem:

— Tak! prosiąt, krzykało! Ale choć jestem stary, nie pozwolę sobie deptać po piętach. Wstawaj, wstawaj, boś tylko przyszedł po to, bo mię wyzywasz!

I poważniejszym tonem, spoglądając w około sali dodał.

— Czyliżby człowiek w moim wieku przez próżność, przez zamiłowanie bójki lub coś podobnego, jeździł umyślnie do Kirschbergu? Wcale nie! tylko głupiec byłby do tego zdolnym. Przybyłem tu za interesem, mój siostrzeniec może zaświadczyć. Aleście wszyscy widzieli że ten młokos natrząsa się z moich siwych włosów. A więc niechaj wystąpi, niech sprobuje rzucić mię o ziemię!

— Otóż to warto więcéj niż pusta gadanina, zawołał Hans, ja zawsze wolę tych co idą naprzód śmiało, a gadaninę pozostawiam kobietom.

To powiedziawszy, wstał z miejsca, tymczasem inni przysuwali stoły i ławki do ścian, mówiąc.

— Tym razem będziemy widzieć prawdziwą walkę, walkę straszną; ojciec Stavolo jest jeszcze silny, Yeri-Hans będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

Wuj Konrad i Yeri, sami na środku sali, czekali aż wszystko będzie w porządku. Pani Diederich i służące uciekły do kuchni, widać je było w cieniu jak patrzały jedne przez drugie.

Ja, nie wiedziałem już co myśleć; stałem w rogu okna spoglądając na kanoniera, który wydawał mi się wtedy większy i silniejszy niż poprzednio. Mówiłem sobie, że ze swojemi blond wąsami, podobny do lwa i to do lwa uradowanego, pewnego że wszystko pokona, zburzy i połknie. To przejmowało mię dreszczem. Potem, spoglądając na wuja Konrada, barczystego, krępego, z ramionami szerokiemi rękami grubemi jak nogi, nosem zagiętym jak harpun, włosami spadającemi aż do brwi, — nabierałem jakoś odwagi, zdawało mi się znowu, że on będzie silniejszy. Ale jednocześnie czułem jak zimno przechodziło mi po grzbiecie; łoskot odsuwanych stołów, odciąganych ławek, drażnił mię i nie wiem jakim sposobem, ale przechodził mi w nogi. Patrzałem w lewo i w prawo chcąc na czem usiąść, lecz nie było ani jednego stołka. Cała ogromna sala została uprzątniętą, ludzie stojąc na stołach z głowami blisko sufitu, czekali. Yeri Hans odpiął spencer i oddał jednemu z młodych swój kaszkiet do trzymania.

— Łapaj Kasprze! — zawołał wuj, rzucając mi swój kapelusz, który upadł na ziemię.

To mi się wydało niedobrą wróżbą, ale on niezwrócił uwagi; zakasawszy rękawy jak wtedy, kiedy pracował około winnicy, rzekł:

— Niechże mi ktoś nie powie potem, żem ja zaczepił tego młodzieńca, że to nie on mnie wyzwał!

— A! niech Bóg broni, biorę wszystko na siebie,— zawołał kanonier śmiejąc się.

— Panowie słyszycie, sam się przyznaje rzekł wujaszek. A więc, niech się stanie wola Boża!

I przygarbiwszy grzbiet, wysunąwszy lewą nogę naprzód, zapytał:

— Cóż Yeri, jesteś gotów?

— Jestem panie Stavolo.

To rzekłszy, natychmiast pochwycili się za kołnierze, na sposób alzacki, nietykając ciała. Kołnierze ich ubiorów musiały być z djabełnie mocnego sukna, bo najpierw wuj Konrad uniósł Yeri-Hansa od ziemi, i trzymał go chwilkę w powietrzu, jak gdyby dla roztrzaskania o mur; potem przyszła koléj na niego, przeciwnik uniósł go w tenże sam sposób. Obaj po takiéj próbie spadli prosto na nogi, żaden się nie zachwiał. W sali prawie nieoddychano.

— Masz krzepkie ręce, powiedział wujaszek, muszę ci oddać, ho! he! he!..

— I wy także panie Stavolo odrzekł kanonier.

Prawie natychmiast wuj, z ramionami wyciągniętemi, głową schyloną, jak tur który chce coś przebość rogami, pchnął go ze wszystkich sił, probując jednocześnie podnieść od ziemi, ale Yeri-Hans, pochylony ku niemu, prześliznął się na nogach przez całą długość sali, z szelestem podobnym do szelestu hebla; zaledwie wuj przejechał z nim w ten sposób na drugą stronę, kanonier wydając dziki krzyk: teraz na mnie! — odepchnął go z nie mniejszą siłą i tak samo przesunął napowrót, niezdoławszy jednak przewrócić. Znalazłszy się na drugim końcu sali, wyprostowali się obaj i patrzyli sobie w oczy; wtedy słychać było jak wszyscy obecni odetchnęli. Na podłodze, zostały tylko cztery długie szramy od gwoździ ich obówia. Wuj Konrad był blady, kanonier czerwony jak cegła. Puścili się na chwilę, a Yeri-Hans rzekł gniewnie.

— No niezgorzéj!

— Jużeś się zmęczył? zapytał wuj.

— Oh! zmęczył... zmęczył...

I natychmiast, znowu pochwycił wuja Konrada za kołnierz, potrząsając nim jakby dla wyprobowania czegoś; wuj uczynił toż samo. I znów patrzeli na siebie więcéj niż minutę, śmiejąc się dziwnym śmiechem. Potem stary musiał się przegiąć w tył dla oporu, a gdy się przegiął, kanonier wydając głuchy krzyk z głębi piersi, rzucił się na niego tak zajadle, że wuj Konrad niespodziewając się tego, w mgnieniu oka uczuł nogi w powietrzu, a grzbiet przylepiony do ziemi.

Tysiąc tryumfalnych okrzyków zabrzmiało ze wszystkich stołów, a Yeri-Hans zacierał ręce nadymając policzki po same uszy; musiał się piekielnie strudzić bo miał oczy czerwone jak krew.

Wujaszek z blademi drżącemi ustami powstał, ale zaledwie stanął aby na nowo rozpocząć bójkę z zaciekłością, noga mu się zgięła i musiał się oprzeć o stół aby nie upaść. Natychmiast w sali nastało głebokie milczenie, a Yeri spytał:

— Co wam jest panie Stavolo, czyście zasłabli?

— Idź do stu djabłów przeklęty hołyszu! wrzasnął wujaszek, złamałeś mi nogę. Ah! rozbójnik, podszedł mię zdradą i oto mam złamaną nogę!

Słysząc to zawołałem:

— Boże miłosierny! wu złamał nogę, prędko, doktora!

Yeri-Hans, kładąc na głowę kaszkiet, rzekł:

— Bardzo mi przykro panie Stavolo, bardzo przykro; niesłusznie się gniewacie, nie uczyniłem tego umyślnie.

— Ah! niegodziwiec! łamie nogę podstępem — i śmie utrzymywać że nie uczynił tego umyślnie! zawołał wujaszek którego posadzono i który zgrzytał zębami kiedy mu zdejmowano trzewik. Odpowiesz mi za to Yeri, odpowiesz!

— Dobrze panie Stavolo, kiedy pan tylko zechcesz odrzekł Yeri-Hans, ale niesłusznie krzyczysz i wymyślasz; słowo honoru to mi bardzo bolesne.

Widziano że mówił prawdę, ale wujaszek któremu się zdawało że byłby odniósł zwycięztwo, nie mógł tego zrozumieć.

— Idź sobie! idź przecz! — mówił, — twój widok burzy mi krew! Ah! bandyta! robić kaleką człowieka w moim wieku!

Yeri-Hans wyszedł zasmucony, a gdy wujowi Konradowi zdjęto trzewik i pończochę, Sommer handlujący wędlinami na małym rynku, ukląkł przed krzesłem i zaczął obmacywać nogę od góry do dołu. Wszyscy stanąwszy dokoła patrzyli. Gniew prędko ominął wujaszka, — zaczął tylko bełkotać:

— Śliczna rzecz, być kaleką na resztę życia przez zdradę tego bandyty! Ah! jakaż mi głupia myśl przyszła jechać do Kirschbergu po prosięta! A! rozbójnik!... Ja sobie piłem spokojnie, ani mi się śniło o bójce, a ten... Zresztą gdyby nie używał podstępów, wykrętów przywiezionych z pułku, wojennych wybiegów sprowadzonych z Afryki aby łamać nogi uczciwym ludziom!...

Stary Sommer w swojéj wełnianéj czapeczce i białym fartuchu ciągle omacywał, nareszcie rzekł:

— Żadna kość nie złamana, ale jest mocne zwichnięcie.

— Zwichnięcie? spytał wuj.

— Tak, a to gorsze niż złamanie, dobrodzieju Stavolo. Trzeba co prędzéj włożyć nogę w zimną wodę, bo widzisz pan, gdybyś z tem zwlekał, mogłoby przyjść do amputacji.

Słysząc to, wujaszek spojrzał na mnie, a był tak blady, że aż mi łzy w oczach stanęły, chciał mówić, lecz zaledwie zdołał wyrzec te parę wyrazów:

— Kasprze! wody, wody czemprędzéj!

Pobiegłem do kuchni gdzie Zeffen, służąca, właśnie napełniała wanienkę wodą; przyniosłem ją sam do sali, wuj włożył natychmiast nogę dzwoniąc zębami; była to woda źródlanna, z pomiędzy skał, zimna jak lód.

Natenczas pani Diederich rzekła:

— Nie uwierzysz panie Stavolo jak mnie to martwi, że podobne nieszczęście stało się w mojéj oberży.

— Mnie jeszcze bardziéj, zawołał wuj naprawdę rozgniewany.

— Zanocujesz pan tutaj?

— Ja, nocować w Kirschbergu? nigdy! nie zostanę tu kwadransa. Nie zobaczycie mię więcéj w tym zbójeckim zakątku. Niech mię Bóg uchowa abym miał kiedy jeździć po prosięta do podobnéj wioski!

Wszyscy którzy się znajdowali w oberży, powychodzili jeden za drugim rozgłaszać wielką nowinę, po upływie kwadransa w sali został tylko wuj Konrad, Sommer, służące i ja, bo pani Diederich także wyszła kazać stajennemu aby zaprzęgał.

— Panie Stavolo uczynisz lepiéj pozostając tutaj, powiedział Sommer; byłoby niebezpiecznie wyruszać w drogę.

— Mniejsza o to, rzekł wujaszek; niecierpię téj okolicy.

— Więc pan odjedziesz?

— Odjadę.

— Kiedy tak, można wyjąć nogę z wanienki, owinę ją zmoczonem płótnem, to będzie również skuteczne na czas powrotu do domu.

Obejrzał jeszcze nogę i dodał.

— Zwichnięcie potężne.

Potem owinął ją płótnem które pani Diederich przyniosła. Oblał je dobrze zimną wodą i zaniesiono wuja na krześle aż do wózka. Posadzono go od tyłu, chorą nogę położono na pęczku słomy. Tym razem ja wziąłem bicz i lejce.

Cała wieś powłaziła w okna aby nas widzieć przejeżdżających. Pani Diederich ani pisnęła o rachunku, a ojciec Sommer wołał.

— W tych dniach odwiedzę cię panie Stavolo, dowiem się o twojem zdrowiu.

— Dobrze, dobrze odpowiedział wujaszek dzwoniąc zębami, bo mu było zimno. Pospieszaj Kasprze.

Przebyliśmy wioskę tęgim galopem; wujaszek wstydził się widząc tylu ludzi we drzwiach i oknach, więc zawołał do mnie.

— Jaki tu głupi lud w tym Kirschbergu, możnaby myśleć że nigdy nie widzieli człowieka ze zwichniętą nogą!.. Przecież każdemu zdarzy się pośliznąć.

Nareszcie, gdyśmy wyjechali z wioski, uspokoił się nagle i nic już nie mówił. Gniew z powodu przegranéj bitwy, uczynił go jak gdyby dzikim. Popędzałem konie wmawiając w siebie, że w tem nieszczęściu jest jeszcze coś dobrego, ponieważ Margredel będzie złorzeczyć Yeri-Hansowi, a wujaszek wpadnie we wściekłość ile razy kto wspomni mu o tym człowieku.

W takich myślach przybyliśmy do Eckerswiru około trzeciéj po południu. Wujaszek spoglądał na prawo i na lewo z niespokojnością, obawiając się spotkać ojca Bremera, Mériana, albó któregokolwiek z tych co byli z nami pod *Trzema Różami*, oniby nas pewno witali a może i zatrzymali, aby się dowiedzieć o podróży, zwłaszcza widząc wuja Konrada leżącego od tyłu, a mnie z biczem i lejcami w ręku. Na szczęście nie przytrafiło się nic takiego, zajechaliśmy przed dom niewielkim kłusem nie spotkawszy żadnego z tych jegomościów.

Lecz zaledwieśmy stanęli, Margredel wyjrzała oknem od wielkiéj izby i zdawała się być niezmiernie zdziwioną, żeśmy tak prędko wrócili. Potem, ujrzawszy wuja Konrada z nogą w powietrzu, porzuciła swoją robotę i wybiegła na schody, krzycząc.

— Co się to stało? co tobie jest mój ojcze?

— Nic Margredel, odpowiedział wujaszek, to nic, pośliznąłem się.

— Pośliznąłeś się, ale gdzie, jakim sposobem?.. a mój Boże!

— W oberży pod *złotym dzbanuszkiem*, i nadwichnąłem sobie troszeczkę nogę...

Margredel dobrze widziała po naszych minach, że to nie taka bagatela jak zapewniał wujaszek; to też nie słuchając więcéj, zaczęła krzyczeć.

— Orchel! Orchel. prędko, prędko, biegnij po pana Lehmanna!

Zeszła ze schodów i wdarła się na wóz przemawiając tak czule: mój biedny ojcze! mój biedny ojcze! i tak go całując, żem pragnął być na jego miejscu bodajby z obiema zwichniętemi nogami.

Wujaszek był rozczulony.

— To nic moja Margredel, niema niebezpieczeństwa, mówił; tylko niemogę zejść bez pomocy, trzeba iść po starego Roemera i po tłustego Hirscha aby mię znieśli.

Mnóstwo sąsiadek wybiegło na krzyk Margredel. Wzięły wuja pod ręce, inne podtrzymywały nogi i tak wniosły go na schody.

Margredel płakała gorąco. Orcheli nie było, wuj od kilku minut leżał na łóżku, naprzeciw otwartych okien; połowa kumoszek stała około niego, gwarząc razem aż uszy bolały, mówiły że białko od jaja, cebula posiekana z pietruszką, orzechowy oléj z pieprzem, są najlepsze od zwichnięcia; naradzały się tylko co z tego wybrać, kiedy nadszedł doktór Lehmann, mówiąc:

— Zacznijmy od oswobodzenia pokoju: nie lubię słuchać jak te sroki skrzeczą mi nad głową.

Potem zbliżywszy się do wuja Konrada, który nań patrzał wytrzeszczonemi jak mógł oczami, rzekł ściskając go za rękę:

— Cóż się to stało panie Stavolo? co wam jest?

— Poślizgnąłem się, odrzekł wujaszek, — poślizgnąłem się w oberży pod *Złotym dzbanuszkiem* w Kirschbergu i to mi nadwyrężyło nogę.

— Zobaczmy. Pójdź tu Kasprze, a panna Margredel niech będzie łaskawą i pójdzie zobaczyć co się dzieje w drugim pokoju; — powiedział Lehmann.

Potem wziął się do odwijania szmat z nogi, popatrzył i rzekł:

— To ani mniéj ani więcéj, tylko porządne, przyzwoite zwichnięcie. Jakim u djabła sposobem ojcze Stavolo pan, człowiek tak silny, mogłeś w sali, na drewnianéj podłodze, tak pięknie zwichnąć nogę i to wstecz, boś się poślizgnął nagle posuwając się naprzód, a potem padając na wznak, to łatwo dostrzedz; nie miałżeś się o co zatrzymać?

— To się stało, rzekł wuj po kilku sekundach namysłu, przez podejście, przez zdradę.

Doktór Lehmann wyprostował się jak tyka, mówiąc:

— Jakto przez podejście? przez zdradę?

— Tak, panie Lehmann, to czysta prawda; Kasper może zaświadczyć.

Wtedy, opowiedział jakeśmy wyjechali rano z zamiarem kupienia prosiąt w Kirschbergu u matki Kobus; jak Yeri-Hans zaczepił go niespodzianie w sali pod *złotym dzbanuszkiem*, i jak się poślizgnął nastąpiwszy na pestkę od śliwki, co niezawodnie było przyczyną zwichnięcia.

— Aha! dobrze, dobrze, teraz rozumiem, powiedział doktór z uśmiechem; chcieliśmy poprobować naszych sił ojcze Stavolo; cóż? to nie zawsze się udaje... byłeś długo na wierzchu.. a teraz...

— Ale nie, nie, — wołał wujaszek — Kasper może powiedzieć że Yeri-Hans podszedł mię zdradą, że gdyby nie pestka... Nieprawdaż Kasprze?...

Nie widziałem żadnéj pestki, ale wuj Konrad wydał mi się aż nadto nieszczęśliwy ze swojem zwichnięciem, abym mu jeszcze zaprzeczał. Więc powiedziałem:

— To jasne jak słońce! kanonier pociągnął naprzód wujaszka aby mu podstawić nogę, potem popchnął wstecz i wujaszek poślizgnął się przez pestkę.

— Tak, Yeri mi podstawił nogę, to rozbójnik!.. ale gdybym nie był natrafił na pestkę... no!..

— Nareszcie bądź co bądź, zwichnięcie mocne, — powiedział Lehmann, — może potrzymać pana ze sześć tygodni w łóżku, jeśli nie będzisz ostrożnym... Dobrześ pan zrobił żeś moczył nogę w zimnéj wodzie, ale bandaż nic nie wart.

To powiedziawszy, tak dobrze obandażował nogę, że stary byłby mógł chodzić, ale doktór nie kazał mu się ruszać, polecił tylko zwilżać bandaż jak najczęściéj, potem wyszedł obiecując że zajrzy nazajutrz.

Wuj Konrad zasmucił się że doktór natychmiast odgadł prawdę. To téż gdyśmy zostali sami, rzekł do mnie:

— Ci doktorzy, niewarci kawałka powroza aby ich powiesić; mów im sto razy prawdę, nie uwierzą. Kiedy tak, nic już nie powiem, jeżeli mię kto zapyta jak się to stało odpowiem tylko: „zapytajcie Kaspra, on wie najlepiéj że mnie przewrócono podstępem, zdradą; on wszystko widział, podstawienie nogi, pestkę!... Ale niewypada abym sam o tem mówił, mógłby kto myśleć że szukam wykrętów, że się bronię językiem a to nieuchodzi.“ Kasprze, ty powiesz najczystszą prawdę, jak powiedziałeś Lehmannowi i po wszystkiemu! A teraz odejdź jeżeliś łaskaw, jestem zgryziony, spać mi się chce.

Wyszedłem z pokoju, a widząc Margredel która płakała zakrywszy piękną twarzyczkę rękami, powiedziałem jéj że Yeri-Hans był powodem wszystkiego; że zaczepił jéj ojca, wyzwał i nareszcie powalił o ziemię zdradą.

Nic nie odpowiedziała tylko płakała ciągle.

Przy wieczerzy, wzięła swój talerz i poszła usiąść przy ojcu, aby go doglądać; wieczerzałem więc sam, myśląc sobie że Margredel nie bardzo zagniewana na Yeri-Hansa, że na jéj miejscu przekląłbym go miljon miljonów razy.

VII.

Rozgłos tego wypadku rozszedł się po całéj okolicy, reputacja wuja Stavolo strasznie zmalała. Tylko o Yeri-Hansie, wysławiano jego nadzwyczajną siłę, dowodzono że wszyscy inni są zerem w obec niego.

Tymczasem wuj Konrad zaczął czynić głębokie uwagi nad próżnością spraw ludzkich. Marzył od rana do wieczora, a gdym siadł przy jego łóżku, rozpoczynał kazanie.

— Kasprze, mówił do mnie, — im więcéj przemyślam tem jaśniéj widzę że ludzie są głupcy, łamiąc sobie kości jak to zwykli czynić. Bo czem jest sława? pytam ja ciebie. Przypominam sobie, że stary proboszcz Jeronimus, wołał zawsze: „sława jest dymem dymu“. Póki jesteś mocny póty masz sławę, bo inni boją się ciebie, bo ci zazdroszczą, niecierpią cię, nie śmiąc powiedzieć tego. Ale gdy postarzejesz, albo gdy ci się zdarzy poślizgnąć przez pestkę, bądź zdrowa sławo! Tak samo i z pieniędzmi, co ci po majątku, kiedy go użyć nie możesz? Naprzykład ja, co mi po piętnastu morgach winnicy, kiedy nie mogę ich pojść obejrzeć? Co mi z tego że mam stare wino w piwnicy, kiedy Lehmann zabrania pić, aby się zapalenie nie wdało w zwichniętą nogę? Co mi teraz po moim majątku? Wolałbym mieć połowę tego co mam, bylebym mógł używać. O wszystkiem można toż samo powiedzieć; miałem dobrą żonę którą kochałem i byłbym szczęśliwy gdybym z nią żył do późnéj starości, mój majątek byłby mi sto razy milszym, gdybym go mógł podzielać z Krystyną, ale szkoda czasu i mówić o niéj, bo już umarła, Nie jesteśmy nawet pewni czy ona myśli o nas, czy widzi co się dzieje w Eckerswirze. Ja w to wierzę, ale nie jestem pewny. A moja córka Margredel? Wychowałem ją, huśtałem na kolanach, w moich oczach rosła, to było moje szczęście. I cóż? oto kończy dwudziesty rok, przypuśćmy że ciebie tu nie ma Kasprze; ktoś inny przychodzi, znajduje Margredel piękną i muszę mu ją dać — i jeszcze dodać pieniędzy aby się z nią ożenił. Czyż to nie szkaradzieństwo, wychować córkę dla jakiegoś draba, którego nie znasz ani od Ewy ani od Adama, i który myśli że ci zrobił ogromny zaszczyt, przyjmując dobry posag i ładną dziewczynę. Ja utrzymuję że wszystko jest niczem, że gdyby nie nasza święta religja, która przyrzeka wieczyste życie, lepiéjby było nie przychodzić na ten świat!

Tak dowodził wujaszek z powodu zwichnięcia; nigdy nie widziano rozsądniejszego człowieka, ja też mówiłem do niego:

— Masz słuszność wujaszku, ale trzeba zrobić jak wszyscy i ożenić się ponieważ taka moda w Alzacji. Gdy wyzdrowiejesz wujaszku, będziesz myślał inaczéj pójdziesz obejrzeć swoje winnice, napijesz się starego *Kutterle*. Co się zaś tyczy Margredel, znasz mnie wujaszku, jeżelim tyle szczęśliwy żem się jéj podobał pobrawszy się zostaniemy razem jak teraz i będzie nam dobrze.

Wujaszek nie chciał widzieć nikogo z obcych; istary Bremer, ojciec Merian i inni chcieli go odwiedzć, ale zabronił ich wpuszczać do siebie.

Nie mógł słuchać o Yeri-Hansie ile razy wymówiono jego imię, stary bladł i mamrotał:

— Ah urwis... jeśli go kiedy spotkam no!...

Kiedy Margredel chiała raz przemówić parę słów za kanonierem, dając za pozór że to nie on stał się powodem zwichnięcia ale pestka, — wuj pobladł okropnie i rzekł ponuro:

— Cicho Margredel, cicho, jeżeli chcesz mię dobić nie potrzebujesz jak tylko bronić tego zbója.

Przekonałem się wtedy że Margredel kochała Yeri Hansa, i błogosławiłem Stwórcę za wszystko co się stało, mówiąc w duszy:

— To miłosierny Bóg w swojéj mądrości sprawił to wszystko, aby wuj Konrad i dryblas kanonier stali się zaciętemi wrogami!

Więc kiedy wujaszek utrzymywał że wszystko źle idzie, ja znajdowałem że wszystko idzie dobrze.

Margredel była smutna, już nie śpiewała w kuchni nie śmiała się przy stole, marzyła z załzawionemi oczyma.

— Ah! mówiłem do siebie, widząc ją wybiegającą i wracającą niespokojnie, — teraz wiem po co tu przychodziła cyganka; wiem dla czego się Margredel zarumieniła, kiedym zapytał: „Co tu robiła cyganka Waldina?“ Tak panno Margredel! wiem dla czegoś tak dobrze pamiętała o tym wysokim blondynie co kiedyś tańcował z tobą w Kirschbergu; wiem z kąd pochodzi twój smutek. Ale to wszystko na nic się nie przyda; Yeri-Hans nie wejdzie nigdy do domu ojca Konrada Stavolo; nie nie! z nim rzecz skończona! trzeba pomyśleć o jakim innym poczciwym chłopcu który cię serdecznie kocha, ten kanonier to pędzi-wiatr, ladaco, na co się przy nim upierać?

Żałowałem jéj w duszy, a jednak byłem kontent; mówiłem sobie:

— Jak się Margredel dobrze wysmuci, zapomni o tamtym a we mnie znajdzie pocieszyciela. Pobierzemy się i wszystko pójdzie dobrze, nawet kiedyś za pięć, sześć lub dziesięć lat, jak Margredel wieczorem zasiądzie sobie spokojnie przed kominkiem, spytam ją niespodzianie: „Przyznaj Margredel, czy nie „marzyłaś onego czasu o oddaniu twojéj ręki Yeri Hansowi z Kirschberga? Powiedz śmiało, nie potrzebujesz się ukrywać.“ A ona zarumieni się i odpowie: „jak możesz coś podobnego przypuszczać Kasprze? nigdy, nigdy taka myśl nie powstała w mojéj głowie.“

Wyobrażając to sobie miałem łzy w oczach, błogosławiłem Boga że natchnął wuja Konrada chętką poprobowania się z Hansem, aby zbliżyć moje małżeństwo z Margredel.

Tak upłynęło trzy tygodnie. Od czasu do czasu wujaszek mnie wysyłał, abym zobaczył czy winogrona dojrzewają; przynosiłem mu po parę gron które kosztował, ale on radby był sam wyiść obejrzeć winnice, przygotować beczki i zgodzić ludzi do winobrania. Trudno wyobrazić sobie jego zgryzotę że musiał leżeć na łóżku jak kloc, i wyrazy jakie wynajdował aby przeklinać sprawcę swojéj niemocy.

Doktór Lehmann w długim axamitnym, jasno-żółtym kaftanie, w szaréj czapce z podniesionym daszkiem, z rękami w kieszeniach aż po łokcie, w półbucikach z czerwonawéj skóry zakończających długie jak szczudła nogi, przychodził go odwiedzać co rano.

— Będzie dobrze, — powiedział odwinąwszy bandaż. Jeszcze trochę cierpliwości ojcze Stavolo; noga się wzmacnia, nabrzmiałość ustępuje, za kilka dni będziemy mogli wyjść o kiju.

— Za kilka dni! — zawołał wujaszek, — więc to się nigdy nie skończy!

— A cóż pan chcesz? zwichnięcie wymaga cierpliwości. Ja wiem że niemiło leżeć na grzbiecie, marzyć że Bóg daję pogodę, że wino dojrzewa, że trzeba wykadzić beczki, wystawić legary, oczyścić piwnice, nasmarować tłokarnię, ja to dobrze wiem, ale cóż robić? Masz i tak dosyć szczęścia mości Stavolo.

— Jakto? mam dosyć szczęścia?..

— Naturalnie; przecież to samo, mogło się panu przytrafić w czasie winobrania, musiałbyś wszystko opuścić, dać pod dozór innemu, wreszcie, zwichnięcie mogło być niebezpieczniejsze. Tak tedy, wszystko idzie dobrze, tylko trzeba być spokojnym panie Stavolo.

Potem, pogłaskawszy swoją długą, spiczastą, płową brodę, uśmiechając się sam do siebie, wchodził do wielkiéj izby i zawsze zatrzymywał się trochę aby pogawędzić z Margredel, która szyła pod oknem.

— Cóż, cóż panno Margredel? zawsze świeża i piękna jak pączek róży, he! he! he!

— Oh! pan Lehmann ma zawsze na pogotowiu jakiś komplement.

— Nie, nie, ja mówię prawdę, mówię co myślę; Kasper szczęśliwy, chciałbym być na jego miejscu.

Margredel rumieniła się, a doktór wychodził ze śmiechem, ściskając mnie za rękę.

Wuj Konrad nie mógł już wytrzymać, kiedy pewnego poranku, doktór obejrzawszy nogę, rzekł:

Teraz, panie Stavolo, wszystko w porządku. Możesz pan wstać i przejść się o kiju.

Twarz wujaszka rozjaśniła się.

— Noga już zdrowa? zapytał.

— Zdrowa, tylko trzeba ją wzmocnić stopniowym ruchem.

Potem doktór wstał, zaczął się śmiać i zawołał.

— Tylko, ojcze Stavolo, bądź ostrożnym! pan wiesz, na świecie tyle jest pestek!... Trzeba ich unikać, bo drugie zwichnięcie byłoby gorsze.

Wujaszek słysząc o pestkach, zaczerwinił się po uszy.

— Wiem, wiem, odrzekł, ale i inni mogą trafić na pestkę.

— Zapewne, ojcze Stavolo, jednak nietrzeba się narażać, pestka rzecz zdradna i kiedy myślimy że się inny przez nią poślizgnie najczęściéj sami wywracamy koziołka. No, no, do miłego widzenia, daj Boże jaknajprędzéj.

To powiedziawszy, wyszedł śmiejąc się, a wuj Stavolo siadając na łóżku zawołał:

— Nudzi mię ten chudy Lehmann ze swojemi pestkami, zupełnie tak mówi jak gdyby Yeri-Hans przewrócił mię bez podstępu, jak gdyby tam żadnéj pe-

stki nie było. Nie mogę ścierpieć ludzi którzy się naśmiewają ze wszystkiego.

— Eh! rzekłem na to, — kiedy wyleczył wujowi nogę, mniejsza o resztę.

Tak alem ja nieposyłał po niego, aby mi paplał o pestkach.

Mimo złego humoru, wuj Konrad wstał, ubrał się, i niezważając na polecenia doktora, jeszcze tego samego dnia po południu wyszedł obejrzeć swoje winnice. Wrócił wieczorem bardzo zadowolony i rzekł do nas:

— Wszystko dobrze, obie moje nogi zarówno silne. Nie trzeba narzekać, mogło mi się coś gorszego od zwichnięcia przytrafić. Nie myślmy już o tem. Winnice w pożądanym stanie, będziemy mieli dobry rok, to rzecz najgłówniejsza.

Byłem szczęśliwy widząc wuja Konrada już zupełnie zdrowego.

Od téj chwili, aż do ośmiu dni przed winobraniem, około S. Heronima który jest patronem Eckerswiru, wujaszek ani wspomniał o Yeri Hansie, zajmował się tylko winnicami, piwnicami i tłokarnią.

Ja, wychodziłem często z Waldhornem, zarabiałem pieniądze i powtarzałem sobie:.. jeszcze dwieście talarów, a zdobędę dwa morgi winnicy i kochaną Margredel.

Marzyć o tem było dla mnie szczęściem. Przez całą drogę, słuchając śpiewu skowronków, myślałem tylko o mojem weselu. Wrając z każdéj wycieczki, przyniosłem jakiś podarek dla Margredel; wstążkę, kolczyki, wreszcie co było najpiękniejszego. Przyjmowała to wszystko dość mile, ale już nie z taką radością jak dawniéj. Nie uśmiechała się, nie dziękowała mi i zdawała się mówić:

— Nie dziwię się że mi kupuje podarunki, bo chce mnie za żonę!

Bolała mnie ta obojętność, alem się pocieszał myślą, że wuj Konrad niemoże przebaczyć Yeri-Hansowi; że gdy raz zostanę jego zięciem, Margredel zapomni o kanonierze i będzie dobrą żoną, wyborną gosposią.

VIII.

Na pięć, lub sześć dni przed uroczystością Eckerswiru, jednego ranku, ponieważ było bardzo gorąco, grałem sobie w wielkiéj izbie na klarynecie z nut opartych o ścianę, między dwoma otwartemi oknami. Wuj Konrad rąbał drzewo na podwórku, blisko schodów, a Margredel, słyszałem jak zmywała w kuchni talerze. Trwało to z pół godziny, kiedy wuj wszedł bez kaftana i zaczął się przechadzać naokoło mnie w głębokiem zamyśleniu. Nieprzestawałem grać, aż wujaszek zatrzymał się nagle — i opierając rękę na mojem ramieniu, rzekł:

— To bardzo piękne co ty grasz, śliczne... ale daj pokój twojéj muzyce a pogadaj ze mną. — Powiedz mi Kasprze, co też ludzie gadają o mnie w wiosce?

Wtedy położyłem klarynet i obróciwszy się na krzesełku, odpowiedziałem:

— Cóż mają gadać? Zresztą wujaszek wie że od owego wypadku, nie byłem pod *Trzema Różami*.

— Ta, ta, ta, wszyscy się cieszą, że Yeri-Hans o mało nie złamał mi nogi.

— Oh! jak wujaszkowi mogła podobna myśl przyjść do głowy!

— Tak, tak niechcesz mię zmartwić, ale ja drwię z całej wioski. A potem gdyby nie pestka o którą się poślizgnąłem, Yeri-Hans byłby się miał z pyszna. Jednak niesłusznie go łajał, niesłusznie krzyczałem; kiedy kto przegra powinien zapłacić i być cicho. Ale to ta pestka rozgniewała mię, gdyby mię Yeri przewrócił tylko siłą, anibym pisnął; ale rznąć się o ziemię przez pestkę, to zawiele, zwłaszcza kiedy ci przy tem o mało noga nie pęknie!

— Zapewne, odpowiedziałem, — ale co się stało, to się stało, nie mówmy o tem.

— Tak, tak, nie trzeba o tem mówić Kasprze, ale to trwać nie może, nie, nie, niemoże.

Poznałem natychmiast że przemyśla o odwecie — i powrót Yeri-Hansa, radość Margredel, wszystko przebiegło mi przed oczyma jak błyskawica.

— Co ci na tem zależy mój wuju, żeby koniecznie uchodzić za najsilniejszego z całéj okolicy? zawołałem. Jaka ztąd korzyść? Co na tem zyskujesz? Ani jednego liarda, przeciwnie, ludzie ci tylko zazdroszczą; radziby cię widzieć z połamanemi kościami, nie żałują gdy cię spotka nieszczęście, mówią że co się stało, stało się dobrze!

— Ah, oni tak mówią — odrzekł wuj Konrad, — otóż to właśnie chciałem wiedzieć. Teraz, dzięki niebu noga moja zdrowa, muszę się zobaczyć z tym drągiem kanonierem.

— Jakto wujaszku, ty, człowiek tak rozsądny?

— Właśnie dla tego żem rozsądny, mój Kasprze.

(d. c. n.)

Ekonomia domowa.

(Dokończenie.)

Stosunek serdeczny córki z ojcem nie mniéj jest wdzięcznym, nie mniéj godnym by nań uwagę zwrócić naszą. Nie bezzasadnem jest to mniemanie, iż u większéj części ojców córki mają pierwsze w ich sercu miejsce. Wśród niepokojów życia, przy męczących pracach, jakież to szczęście, jaka osłoda, te dziewczęce przymilenia, starania czułe i zabiegłe! Zmuszony przepędzić wielką część dnia za domem, ojciec rad spieszy pod dach gdzie wie że nań czeka wdzięczna córki pieszczota. Wesołość jéj, młody i świeży umysł, rozpraszają troski i niepokoje nieodłączne od życia pracy poświęconego. Jéj talenta, gawędka urozmaicona, dowcipna, owoc wyższego wykształcenia, rozlewają nieopisany urok na chwile jego wytchnienia.

Nie mniejszą bywa ta osłęda w ubożuchnym nawet stanie: rola córki nie niższéj jest tam wagi.

Nie jeden uczony znalazł w swojéj córce miłą współ pracowniczkę, nie jeden handlowe prowadzący interesa miał z niéj pomoc czynną i rozumną. Córka słynnego naturalisty *Cuvier'a* opromieniła najwdzięczniejszym urokiem żywot tego niespracowanego badacza, pogrążonego bez przerwy w rachubach i rozważaniach, które cały obszar tego wielkiego pochłaniały umysłu. Jednakże zaciekanie się tak głębokie nie mogło się obejść bez chwil odpoczynku i rozrywki, a tylko rozumna i ożywiona pogawędka córki zdolną była oderwać go od nużących myśli.

Owoż te właśnie miłe stosunki pomiędzy członkami jednéj rodziny przynoszą jéj szczęście i wesele. W bardzo wielkiéj mierze przyczynia się do tychże obecność młodéj panienki, obdarzonéj tkliwością serca i umysłowym wdziękiem.

Postępowaniem swojem jest ona dumą matki, słodycz jéj rozkoszą dla ojcowskiego serca, brat zaś może w niéj znaleźć serdeczną przyjaciołkę, doradcę rozsądnego.

Im więcéj dzieci mają przywiązania do rodziców, tem mocniéj kochają się między sobą. Zjednoczeni we wspólnem uczuciu miłości i czci ku tym, co pieczę mieli nad ich młodocianym wiekiem, czują jak z rokiem każdym ścieśniają się węzły ich bratniéj przyjaźni, jednéj z największych rozkoszy rodzinnych. Jak miły widok dwóch sióstr kochających się czule! W przywiązaniu między braćmi najczęściéj mniéj jest wylania, mniéj wdzięku w zewnętrznym stosunku, lecz niemniéj miłość ich zobopólna głęboką bywa i niezmienną, zwłaszcza gdy łączą ich jednakowe pojęcia wielkich obowiązków życia.

— Często przyrównywano rodzinę do świątyni — i słusznie.

Rodzinę Bóg stworzył, na nią najobficiéj rozlał skarby łaski. Małżeństwo jest najpierwszą z instytucji boskich.

Za Bożem zrządzeniem jawią się pierwsze rodzinne cnoty w cichem i spokojnem patryarchów życiu. Tu widzimy poświęcenie Ruty dla matki, tam anioł wiedzie młodego Tobjasza do źródła gdzie miłość synowska chce znaleźć lekarstwo na przywrócenie ojcu wzroku.

Obok biblijnych obrazów dzieje świeckie uwydatniają cnoty kobiety — matki, żony, córki albo siostry. Szlachetne i wzniosłe kobiece typy stanowią najsilniejszy urok greckiéj tragedji.

Edyp, ofiara niezbłaganego fatalizmu, przestępca chęci i wiedzy, pozbawił się światła dziennego dla odpokutowania za mimowolne zbrodnie. Prześladowany, tułacz, a jednak wierzy jeszcze w dni lepsze: przy boku jego córka Antygona słodzi mu srogą niedolę, nie odstępuje ojca, czuwa nad nim z miłością.

Ona, wzór córek, okaże się późniéj siostrą poświęcenia pełną.

Narazi się na straszny gniew tyrana, który odmawia pogrzebu dwóm jéj braciom, Eteoktowi i Polinikowi, żałobnym spadkobiercom ojcowskich nieszczęść, i pobożną ręką ostatnią odda im posługę, bo u starożytnych odmówienie pogrzebu uważanem było za najokropniejsze z nieszczęść.

Cnotliwa Alcesta, młoda, jaśniejąca wdziękiem i urodą, dla uratowania męża od śmierci zgadza się umrzeć sama i do ciemnych zstąpić piekieł na miejsce swego małżonka. Słaba niewiasta drży na myśl o czarnych Styxu wodach, lecz moc poświęcenia nadludzką w jéj serce tchnie odwagę.

I malarze i poeci w najpiękniejszych obrazach swoich przekazują pamięci naszéj te wzory zaparcia się i poświęcenia.

Lecz pocóż ich szukać mamy na płótnie albo w dramatycznych utworach, które mógłby ktoś pomówić o poetyczną wyobraźni fantazyę. Wszakże karty dziejów nie omroczone mglistym obłokiem starożytności tak odległéj, przekazują potomności tysiączne przykłady świadczące do jakich poświęceń zdolna kobieta, jak tkliwą i wielką jest ona w czystem rodzinnem uczuciu.

Jeden z naszych znakomitych mówców, przypominał nam niedawno znany powszechnie rys historyczny, uwydatniający charakter kobiecego uczucia.

Leonidas, król Sparty, złożony z tronu, na którym zasiada zięć jego Kleombrot, Chelonis, córka Leonidasa, odstępuje męża by ojcu towarzyszyć na wygnanie. Zmieniają się losy. Leonidas powraca do władzy, a Kleombrotowi śmierć grozi. Chelonis usilnem błaganiem ocala męża. Znów jéj przychodzi wybierać pomiędzy dwoma, a obaj zarówno jéj drodzy, — i znów ku temu się zwraca któremu potrzebna pociecha, i na ten raz staje się towarzyszką tułactwa męża.

Sięgając wzrokiem w głąb rodzinnego przybytku, przedewszystkiem zwróciłem uwagę na posłannictwo jakie w niem ma spełniać córka, bo do niéj wyłącznie tutaj się odzywam. To prawda, niesie ona swój przyczynek szczęściu domowego ogniska i to pełną dłonią, krzątaniem się roztropnem, i tym powiewem ducha łagodności, wdzięku i kojarzenia wszystkich w jednem zgodnem uczuciu, lecz dla rodziny istnieją nadto podstawowe warunki, których zupełnie przemilczeć się nie godzi.

Jeżeli kiedy to w naszych mianowicie czasach, niepłonnie tuszyć sobie możemy, iż na ustroju rodzinnym polega umocowanie rozstrojonego społeczeństwa. Wszystko zależy od stanowiska jakie zająć w niéj potrafi kobieta, jako żona, i jako matka.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad lubością widoku, jaki przedstawiają stadła dobrze dobrane, gdzie wszystko zgodne, serca, umysły i charaktery, a mąż i żona myślą jedynie o uszczęśliwianiu się wzajemnem i o wychowaniu dziatwy. Nie ma tu obawy ażeby w ten błogosławiony przybytek wkradł się ów obyczaj niegodny, wedle którego małżonkowie trawią czas prawie zawsze każde z osobna.

Nikt się tem nie zgorszy, jeżeli interesa i niezbędna konieczność powołuje męża za dom, i zmuszają go do przepędzenia części dnia zdala od żony, godnéj jego zaufania i oddanéj obowiązkom macierzyńskim.

Lecz gdy małżonek ucieka z domu dla zabawy, któréj w rodzinnem nie znajduje kole, ileż ztąd wynika smutków, ile nieporozumień, wymówek, jak zakłócone domowe pożycie? W tak opłakanych warunkach jakiż być może los dzieci, świadków téj niezgody która się nie da w tajemnicy przed niemi uchować.

Powróćmy raczéj myślą do owego wzorowego stadła, gdzie związki małżeńskie religią uświęcone, ustalone prawem i sympatją zobopólną skojarzone, są zespoleniem dwóch dusz przeznaczonych do kochania się, pojmowania i dopomagania sobie wzajem we wszystkich życia kolejach.

Małżeństwo jest aktem poważnym: pragnę aby kobieta nie przystępowała do niego nazbyt wcześnie zanim jeszcze zrozumieć mogła obowiązki i powinności doń przywiązane. Pragnę aby nie dla tego, na krok tak wielkiéj doniosłości odważała się (jak to się często dziś zdarza) że to dobra dla niéj partja choć ona sa-

ma nie miała jeszcze czasu poznać dobrze tego, któremu całe swe powierzyć ma życie.

Zaprawdę, jednym z najpotężniejszych środków do ścieśnienia węzłów kojarzących małżeństw, jest przypuszczenie kobiety do czerpania dowolnie w najobfitszych źródłach wiedzy, udzielenie jéj wykształcenia wyższego. Konieczność ta widoczniejszą z każdym dniem się staje. Nie dosyć na tem iż mąż jest pewien przywiązania swojéj żony, potrzeba nadto ażeby zaufał jéj światłu, aby czuł iż cokolwiek myśl jego wytworzy, ona to pojąć zdolna, że do każdego zadania, do każdego pomysłu ona się dzielnie przyłożyć potrafi; że jéj inteligencja odmiennie uposażona przynosi mu uzupełnienie jego własnéj; że gdziekolwiek mu rada potrzebną będzie, najświatlejszą i najbezinteresowniejszą poda mu żona. A tak, związek duchowy stanie się uzupełnieniem sercowych węzłów i ztąd wyniknie to zobopólne pojmowanie się, ta harmonja, niemożliwa pomiędzy dwoma istotami, z których jedna rości sobie prawo do narzucania drugiéj swéj woli, lecz pewno tam gdzie główną podstawą wzajemny szacunek i poszanowanie.

Takowy udział kobiety w najwyższych zadaniach mężczyzny, nie przyniesie bynajmniéj zmiany w rolach jakie sama natura każdemu z nich wyznaczyła. Równość obojga w umysłowem i duchowem podniesieniu, godzi się jak najdoskonaléj z różnością zadań jakiéj życie wymaga, i pod tym względem, nie waham się odrzucić jak najsilniej wszelkie przesadzone uroszczenia, które zdrowy rozsądek ogółu oddawna już potępił.

Z pomiędzy zadań kobiety, jedno bardziéj niż kiedy dziś staje się głównie jéj wydziałem. Mąż jest zawsze naczelnikiem rodziny, lecz przez wytworzenie się tylu nowych potrzeb we wszystkich sferach, konieczne wymagania życia pochłaniają cały czas jego i całą inteligencję. Zmuszona zastępować go kobieta, matka, odziedzicza całą władzę nad dziećmi, któréj ojciec dzierżyć czynnie nie ma czasu.

Nie smućmy się tą koniecznością co na matkę włożyła obowiązki pierwszéj mistrzyni i nauczycielki rodziny: w tem oto leży rozwiązanie istotne społecznego zagadnienia, zaprzątającego w naszych czasach tyle szlachetnych umysłów: „Potrzeba matek zdolnych do dobrego wychowania dzieci,“ a więc ku ułatwieniu jéj tego posłannictwa, potrzebną dla niéj nauka i oświata odpowiednie tak wielkiemu celowi. Namaszczona świętym charakterem mistrzyni dziecinnego wieku, kobieta jest rzeczywiście tą potęgą twórczynią przyszłości. Poświęcenie, cierpliwość, zaparcie się, stałość w celach, godność, moc i odwaga, oto są macierzyństwa konieczne zalety. Matka rodziny stanowi o jéj losie: panowanie jéj wszech władne, wszystkie więc cnoty panujących winna posiadać.

Nie będę tu zatrzymywać się nad wszystkiemi z kolei fazami tego heroicznego poświęcenia, z jakiem kobieta od chwili gdy matką została, darzy swe dziecię najtkliwszéj czułości skarbami. Nie pójdę w ślad za nią jak spełnia swoje zadanie nauczycielki, które się rozpoczyna wraz z życiem dziecka, a życzyćby należało by się przeciągnęło jak można najdłużéj; pominę także wszelkie szczegóły zmienne względnie do wieku, płci, charakterów i okoliczności. Okiem tylko rzucę na ważność tego dzieła urobienia rodziny, w którem rozum kobiety oddać może ludzkości nieobrachowane nieocenione przysługi.

Któż jeżeli nie matka ustanowi w rodzinie ów ład, porządek, podział pracy, użycie czasu, systematyczność, wszystkie te najpierwsze podwaliny ekonomji domowéj?

Kto jeśli nie matka wtajemniczy córkę w rolę przynależną jéj w rodzicielskim domu, w owe wszystkie obowiązki jakie jéj są udziałem kwoli każdemu z członków rodziny?

Kto słodkim wpływem poskromi tego ducha niepodległości, tę burzliwość, któréj młodzież męzka po za obrębem domu nabywa? Zawsze matka.

Nie bez przyczyny skarżą się przewodnicy młodzieży, że dzisiejsze dzieci tak trudne do wychowania. Dziwna jakaś obojętność ku nauce opanowała umysły młodzieży; ze szkół wynoszą niesforność lekceważenie dla nauczycieli, brak szacunku i uszanowania dla starszych. Szczęście gdy na te zwichnięcie wyobrażeń oddziaływa domowe wychowanie, gdy matka rozumna zespoleniem tęgości woli z miłością, powagi z przystępną pobłażliwością potrafi utrzymać władzę swoją w poszanowaniu.

Na łonie to rodziny urabiają się umysły, charaktery hartują. Zawsze i wszędzie powtarzają, a nigdy nadto, iż wszyscy znakomici mężowie przypisują najpierwszym naukom odebranym od matki, owe wyższe przymioty, któremi uświetnionem zostało ich imię.

Jeżeli więc nowoczesna swoboda i pobłażanie wielką przyniosły zmianę w stosunkach jakie dawniéj istniały pomiędzy rodzicami i dziećmi, jeżeli z tąd złe niejedno się zrodziło, zbawienne skierowanie ku dobru takiego porządku rzeczy, ludzkość zawdzięczać będzie wpływowi rozumnych i światłych matek.

NATALJA BORISÓWNA

DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

WYJAZD.

W Goreńkach wszyscy oczekiwali z niecierpliwością powrotu młodego małżeństwa. Jakkolwiek kniaź Aleksy wiedział iż dla niego nie ma już ułaskawienia, nie mógł jednakże całkowicie stłumić uczucia nadziei.

Cała rodzina witała przybyłych z oznakami niecierpliwéj ciekawości, lecz smutne, pozbawione nadziei ich oblicza, wkrótce wykazały wszystkim, że starania były próżne. Z płaczem rzuciła się Natalja na szyję teścia, który prawie odepchnął ją od siebie, tak smutek i nieszczęście czynią częstokroć człowieka nielitościwym i srogim.

— Albo nas nie przyjęto wcale, albo przyjmowano bardzo zimno, a nawet z bojaźnią, mówiła Natalja; od wstawienia się za nami wszyscy wymawiali się ze strachem.

Te słowa były dostateczne aby wykazać Dołgorukowym całą okropność ich położenia. Kniaź Aleksy pojmował doskonale, że najmniejsza zwłoka mogła być uważaną za nieposłuszeństwo i sprowadzić jeszcze większe nieszczęścia, rozkazał więc natychmiast wybierać się w drogę.

Rozpoczęły się kłopoty i frasunki, a biedna Natalja poznała po raz pierwszy, że pieszczoty jakiemi przed ślubem otaczała ją rodzina męża, nie pochodziły z serca, lecz były oparte na chciwych korzyści wyrachowaniach. Gdy wszyscy spiesznie się pakowali, zabierając klejnoty, kosztowności, złoto, materje i t. p. nikt ani pomyślał o Natalii.

— Poradź mi rzekła zwracając się do jednéj z sióstr męża: co ja mam robić? Co zabierać z sobą, co zostawić?

— Co tu radzić, sucho odpowiedziała siostra, teraz każdy powinien myśleć o sobie; i ty samaś powinna ocenić, co potrzebujesz wziąść a co zostawić.

Natalja zwróciła się do innych krewnych, lecz od wszystkich odebrała podobną odpowiedź. Młoda kobieta zupełnie straciła głowę. Cudzoziemka która wychowywała ją od dzieciństwa i dziewczyna służąca bezustannie zarzucały ją pytaniami, co gdzie i jak pakować.

W trudnem swem położeniu zwróciła się do męża: Mój drogi, czy nie wiesz co nam będzie potrzebne w drodze i jakie mogą zajść okoliczności?

Lecz kniaź Jan w tym razie równie był niedoświadczony jak i młoda jego żona. Wzrósł on prawie w obcych krajach, następnie ciągle bawił u dworu i zupełnie nie znał Rossji, jeżeli podróżował, to wszystko urządzała i przygotowywała służba, on zaś potrzebował tylko zejść ze schodów i wsiąść do czekającego pojazdu, w którym znajdował pod ręką, wszystkie potrzebne przedmioty.

W drodze wszędzie zastawał gotowy wygodny nocleg, a w oznaczonych godzinach miał doskonały obiad i kolację, jakby za uderzeniem czarodziéjskiéj laski. Podczas podróży lasy, łąki, pola wioski i miasta, przesuwały mu się przed oczami i tworzyły zachwycające widoki. Dopieka słońce on w miłym cieniu lubuje się jego światłem; pada deszcz jego nie zmoczy ani kropelka, tylko przysłuchuje się szumowi wody i oddycha odświeżonem powietrzem. Nastaje zimno, on go niedoświadcza; słowem kniaź Jan znał tylko przyjemną, dodatnią stronę podróży, o przykrościach i niedogodnościach strony ujemnéj, nie miał nawet pojęcia.

Zapytanie żony zmięszało go.

— Ja nic nie wiem, odpowiedział z otwartością— wszystko zostawiam do twéj woli.

— Ależ ja także zupełnie nie wiem jak postąpić— przerwała Natalja, uśmiechając się przez łzy. Nie ma mnie kto nauczyć, a ja nie rozumiem po co zabierać tyle rzeczy? Do czego one mogą być potrzebne, w ciszy wiejskiéj?

— Do niczego bezwątpienia, odpowiedział mąż. Wszak my niedługo ztamtąd powrócimy, nieprawdaż?

— Spodziewam się.

Więc pocóż mamy zabierać z sobą klejnoty i kosztowności? Nie na zabawy, nie na uciechę wyjeżdżamy. Tak wiele mamy ubiorów, że na wsi i na dziesięć lat nam wystarczą.

— Naturalnie, czem mniéj zabierzemy tem lepiéj. Zresztą rób jak chcesz, ja zgadzam się na wszystko.

— Dobrze, ja urządzę wszystko i bez porady, tylko bądź weselszym Janie; rzekła młoda kobieta patrząc z miłością w oczy męża. Jak niedoświadczone dziecko zajęła się Natalja przygotowaniami do podróży. Zabrała wszystko złoto, srebro, wszystkie brylanty, koronki, nawet droższe suknie i bieliznę swoją, męża kosztowne szuby i t. p. i wysłała wszystko do Moskwy, dla złożenia u brata. Przy sobie zostawiła bardzo mało kosztowności, skromną szubę i kilka czarnych sukien, które nosiła jako żałobę po ich dobroczyńcy Piotrze II.

W wigilją wyjazdu przybiegł posłaniec z Moskwy od Piotra Borysowicza Szeremietjewa, który przysłał siostrze 1000 rs. na drogę.

— Gdzie ja schowam tak znaczną summę, rzekła niedoświadczona młoda kobieta. Przez wiek cały nie wydam tyle pieniędzy!

— Lepiéj jednakże zabrać je z sobą, odezwała się wierna od dzieciństwa ochmistrzyni Natalji. Albożwiadomo co się może przytrafić w drodze?

— Nic się nie przytrafi, przerwała Natalja, czyż pieniądze będą mi na chleb potrzebne? Będziemy go mieli dzięki Bogu do syta.

Francuzka potrząsnęła głową, nakoniec na jéj naleganie zgodziła się Natalja zabrać 400 rs. resztę odesłała bratu. Wszystko wreszcie było już gotowe do podróży. Przed domem stały powozy i ciężko wyładowane kibitki. Kniaź Aleksy Dołgoruki jako znamienity magnat, udawał się na wygnanie ze wszelkiemi wygodami, z liczną służbą, ze strzelcami z końmi pod wierzch i całą sforą psów gończych.

Najskromniéj jechał kniaź Jan z żoną, lecz i oni mieli pięciu ludzi do usług i dziesięć koni.

POCZĄTEK PODRÓŻY.

W końcu kwietnia w chłodny poranek, ze wzgórza na którem stał pałac Dołgorukich, przedstawiał się bardzo smutny widok, Jakkolwiek śnieg już roztajał, lecz zieloność ukazywała się bardzo słabo i tylko miejscami. Głucho szumiał wiatr między gołemi gałęziami ciemnego lasu, strumyki zamieniły się w rzeki zalewające pobliskie łąki, droga pokryta była głębokiem stojącem błotem, a nad tem smutnym obrazem rozciągała się jednostajna, ciemna, ołowiana przestrzeń nieba. Przed pałacem zgromadzili się wieśniacy, z siwym starostą na czele. Nikt nie ośmielił się przerwać milczenia, wśród którego rozległ się ponury dźwięk dzwonu domowéj cerkwi.

Dołgorukowie modlili się.

Na dziedzińcu czekał rzęd powozów, konie były zaprzężone i jakby czując ogólny smutek, stały, zwiesiwszy głowy, niechętnie wybierając się w daleką nieznaną drogę.

Silniéj i częściéj zadźwięczał dzwon. Powstał ruch w dziedzińcu. Nabożeństwo się skończyło i służba wybiegła naprzód zająć przeznaczone miejsca. Przed pałac wyszedł kniaź Aleksy Grygorewicz, był bardzo blady i zdawało się że mu dziesięć lat przybyło. Wieśniacy zdjęli czapki i z ciekawością zwrócili oczy ku pałacowi, za kniaziem wyszła cała rodzina, a na końcu postępował Jan Aleksiejewicz z żoną. Wszyscy płakali ale nie było z kim się żegnać. Nikt z krewnych ani z przyjaciół nie miał odwagi odprowadzać nieszczęśliwych wygnańców.

Powoli każdy zajął swoje miejsce. Boże błogosław! zawołał kniaź Aleksy, przeżegnawszy się, jego powóz pierwszy ruszył z miejsca, a za nim postępowały inne.

U bramy wieśniacy ze starostą padli na kolana, lecz nikt nie wyrzekł do nich słowa pożegnania,

nikt nie skłonił nawet głową, tak każdy był przyciśnięty własnem, wielkiem, nieszczęściem.

Zjechawszy ze wzgórza, powozy zwróciły się od Moskwy i pojechały drogą zalaną błotem.

Kniaź Aleksy wcisnąwszy się w kąt karety, płakał jak dziecko.

Nie skutkowały żadne słowa pociechy; przejście z dawnéj świetności do teraźniejszego położenia, nie mogło mu się w głowie pomieścić. Niedawno najpierwszy magnat w kraju, a teraz..... wygnaniec niewiedzący co go czeka w przyszłości.

Jedna tylko Natalja nie upadła na duchu. Widząc głęboką rozpacz męża, kryła przed nim własną boleść, i starała się rozerwać go tkliwemi pieszczotami i pociechą. Delikatne dziecię wychowane w zbytkach i szczęściu, okazało się wówczas silniejsze i wyższe od mężów, którzy spędzając życie całe w zabiegach i niepokojach, powinni byli rozrość w siłę ducha, i dać przykład chrześcijańskiéj mocy i poddania.

Natalja Borysówna czerpała taką moc w swéj czystéj duszy, niezamąconéj jeszcze ani jedną z tych namiętności, które osłabiły ducha otaczających ją. Podczas gdy wszyscy w koło niéj drżeli i z przestrachem myśleli o przyszłości, ona jedna nie zaznała trwogi, dla tego, iż ona jedna między wszystkiemi była czysta jak anioł; dusza jéj była jasna jak promień słoneczny. Wszyscy padli mniéj więcéj ofiarą, pełnych pychy intryg, ona jedna stała się ofiarą swego serca i wierności danego słowa. Wiele jednak nieszczęść wiele rozczarowań, czekało jeszcze Natalją Borisównę.

Na pierwszym przystanku podróżni wysiedli zjeść obiad. Młodzi małżonkowie, prawie dzieci, mający zaledwo 37 lat wysiedli z powozu, przejść się zanim obiad podadzą. Czekali blisko godzinę, dziwiąc się że ich nie wołano; nakoniec wróciwszy do powozu spostrzegli, że wszyscy zabierają się jechać w dalszą drogę. Dama do towarzystwa przybiegła do Natalji ze łzami w oczach.

— Ach Księżno, zawołała: bądź łaskawa co prędzéj zjeść co ciepłego, kniaź Aleksy Grygorewicz rozkazał już zabierać się do podróży.

— Czyż Ojciec nie będzie jadł obiadu? Zapytał kniaź Jan.

— Już jest po obiedzie, odpowiedziała smutnie.

— Dla czegóż nas nie zawołano?

— Kniaź Aleksy raczył powiedzieć, że teraz każdy powinien myśleć o sobie, że państwo jedziecie nie na ogólnym koszcie, lecz na swoim.

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Skąpiec—*Komedja Moliera w 5 aktach tłómaczenie Narzymskiego, przedstawiona dnia 5 Sierpnia r. b.*

Gdybyśmy sztukę tę chcieli oceniać z dzisiejszych wymagań scenicznych, sława Moliera straciłaby nieco na swoim uroku. Nienaturalność tu i owdzie przebijająca się, brak prawdy, któréj tak domagamy się w dzisiejszych utworach teatralnych, brak wreszcie zajmującéj intrygi, utrzymującéj uwagę widza w ciągłem naprężeniu, stanowią wybitne niedostatki, unikane troskliwie przez tegoczesnych dramaturgów. Niezmniejsza to jednak w niczem istotnéj zasługi pisarza, postawionego na pierwszem miejscu pomiędzy nowożytnemi autorami dramatów komicznych. Czas ma swoje prawa, a nikt nawet największy genjusz z pod ich wpływu otrząsnąć się nie może.

Molier podnosząc teatr z nędznéj farsy do przynależnego mu stanowiska, utworom swoim szczególniéj w ostatnim dziesiątku życia, nadawał barwę tendencyjności, odpowiednią szerszemu poglądowi na życie ludzkie, do czego mu materjałów własne dostarczyło. W Skąpcu chciał ochydzić sknerstwo i chciwość i zarazem wykazać wszelkie szkodliwe następstwa, jakie z téj ułomności moralnéj sam człowiek na siebie ściąga. Mamy więc tam syna żyjącego z pożyczek na wysokie procenta, które naturalnie płaci szkatuła ojcowska: mamy służbę dopomagającą synowi do okradzenia ojca; mamy ulubieńca Harpagona pochlebstwem wciskającego się w jego łaskę: mamy intrygantkę polującą na pomoc pieniężną Skąpca, przy pomocy dość niezręcznych pochwał jego przejrzałéj i wstrętnéj powierzchowności: mamy wreszcie wpływ namiętności na samego sknerę jako człowieka, któréj nacisk niemało mu przysparza kłopotów. Stanowi to więc jeden wielki obraz, skąpiec w nim główną stanowi postać, inne wprowadzone do dramatu posługują jedynie do uplastycznienia szkarady jego i szkód ztąd ponoszonych. Skąpiec więc Moliera to nie fotografia jednostki, ale zbiorowisko wszystkich objawów skąpstwa, aby w niem każdy skąpiec, czy grosze zbierający czy dukaty, czy lichwiarz czy sknera, mógł się poznać, zawstydzić i zostać przez społeczność palcem wytknięty.

W tak szeroko nakreślonéj postaci, komizm i dramat tak są misternie splecione z sobą, tak się łączą i wzajemnie wspomagają, że rozdzielenie ich lub zupełna przewaga jednego nad drugim, zależy prawie wyłącznie od artystów, a mianowicie od artysty występującego w roli Harpagona.

Molier pomieszczając w swym utworze, sceny wysokiego nastroju dramatycznego, jak przekonanie się że syn pożycza na wysokie procenta, rozpacz skąpca z kradzieży szkatuły, walka jego między odzyskaniem jéj lub wyrzeczeniem się młodéj ukochanéj przez siebie dziewicy, pewność odebrania skradzionego skarbu, i inne, których nie wymieniamy, zdają się usprawiedliwiać przypuszczenie, że Molier więcéj dramatyczność jak komizm miał na celu. Sytuacje te za nadto są poważne, za wiele w nich brzydoty moralnéj, za wiele dążności ohydzenia błędu, aby tylko sama chętka ośmieszenia miała je autorowi podyktować. Komizm zaś którego dość szczodrze użył do uwydatnienia swego zadania, był koniecznym, bo skąpstwo oprócz zgrozy jaką obudza ma i smieszną stronę. Zdaniem więc naszem dramatyczność w Skąpcu powinna mieć przewagę, pod jéj wpływem wszyscy występujący artyści działając, prawdziwego komizmu nie osłabią, ale przeciwnie podniosą go i lepiéj uwydatnią.

Artyści innego widocznie byli przekonania, co szczególniéj widniało w grze pana Rapackiego w roli głównéj Harpagona. Pojęcie takie sprzeczne z naszem, nie opuściło go od pierwszéj sceny do ostatniéj, i dla tego chwile prawdziwie dramatyczne przemijały bez właściwego wrażenia, scena zaś główna, rozpaczy z okradzenia więcéj była śmieszną, jak przejmującą wstrętem. Wprawdzie przechylanie się ku komizmowi, jako raźniéj przemawiającemu do większéj może części publiczności, ponęty ma bardzo wiele, ale miarkowanie go wyższem pojęciem, wnikającem w ducha utworu jest koniecznem, bo pominięte wprost do farsy prowadzi.

Pan Rapacki uniknął tego, chciał być komicznym ale nie zapomniał zupełnie i o dramatycznéj stronie utworu: często był prawdziwym Harpagonem, ale czasami prostym tylko sknerą, których postacie przewijają się w wielu innych sztukach, użyte jako dodatki dla uwydatnienia całości. Nie wątpimy, że zmieniwszy swój pogląd dałby nam prawdziwego Harpagona: obecnie nie był typową postacią w któréj sknerstwo, chciwość, żal, rozpacz, nieuśpione jeszcze namiętności, słabość ludzka, naprzemian występują, szarpiąc duszę już za życia potępianego. Znany talent pana Rapackiego, podołałby temu, zadaniu, dla tego ze szczerem wyrzeczeniem naszego zdania nie wahaliśmy się nawet chwili.

Co do gry innych artystów, tytuł komedji jaki Molier nadał swojéj sztuce, także nie pozostał na nich bez wpływu przeważającego. Dramatyczność nigdzie na jaw nie wyszła, nawet w miejscach gwałtem domagających się tego. Przyzwyczajonych do wybornéj gry tych samych artystów w sztukach tegoczesnych pisarzy, dziwiłoby to niepomału, gdyby nie wzgląd na odległość czasu dwuwiekowego, w którym Skąpiec został napisany. Wada któréj objawy rozproszone w tysiącach jednostek, Molier pozbierał i uosobił w jednéj postaci, były pierwszy raz w formie dramatycznéj przedstawione publicznie jak zwierciadło do przejrzenia. Dziś podobnych skąpców molierowskich już nie ma prawie na świecie, obrazowanie ich nie nadaje się do tegoczesnych pojęć, a wszystkie posiłkujące do tego sytuacje, łapki zastawiane na kieszeń skąpca, wyzyskiwanie słabych stron jego serca, wszystko to są środki przez późniejszych pisarzy tak zużyte i nadużyte, że dziś tylko nudzić mogą a nie zajmować. Wydobycie więc tu pożądanego efektu niezmiernie trudne, i tylko szczególne wniknięcie w myśl przewodnią dramatu, mogłoby go stworzyć.

Przyjęcie przez publiczność było dość chłodne. Obraz dramatyczny tendencyjny jakim śmiało Skąpca nazwać można, nie przypada już do dzisiejszego smaku. Niegdyś prawdy w nim wygłaszane były nowością; przez teatr wcielone w masy, przemieniły się w pojęcia obecnie nikomu nieobce, przedstawione więc na nowo, nie mogły obudzić wielkiego zapału. W zakończeniu nie możemy pominąć wybornego ucharakteryzowania się pana Rapackiego. Był to prawdziwy Harpagon, suchy, zawiędły, pomarszczony, z nosem haczykowatym jak u krogulca, niby trzecia ręka do chwytania miłego grosza.

Ważna to zaleta. Pan Rapacki posiada ją w wysokim stopniu, i coraz bardziej ujmuje w karby właściwe. Pan Chomiński w roli Jakóba i pan Damse w roli Strzały lokaja, stanowiących podrzędne postacie, byli prawdziwie komicznemi jak utwór tego wymagał.

Korespondencja ze Lwowa.

Sierpień 1870.

(*B*) Korespondenci pism literackich umilknąćby teraz powinni, dotąd przynajmniéj, dopóki wrzawa wojenna cokolwiek nie przycichnie. Dzisiaj przyszło żniwo dla pism politycznych i ich korespondentów. Pisma polityczne bywają teraz rozchwytywane i zwiększają swe nakłady dla wielu nowych prenumeratorów gdy tymczasem pisma literackie w obozie swych czytelników, spostrzegają w bieżącym kwartale zamiast przybytku dotkliwą dezercję.

Polityczne pisma codzienne nie mogą już zwykłym numerem zaspokoić téj ciekawości więc wydają luźne oprócz tego raz lub dwa razy na dzień dodatki nadzwyczajne, zawierające telegramy, najświeższe wiadomości z Paryża. Berlina i z nad Renu. Nie są to już dzisiaj nadzwyczajne lecz owszem całkiem zwyczajne dodatki, gdyż wychodzą codziennie od dwóch tygodni regularnie o jednéj i téj saméj godzinie. Nie dziw tedy, że dla lwowskiéj publiczności cekawszą jest dzisiaj jakakolwiek wiadomość, z małéj wioski nad Renem niżeli korespondencja choćby nawet ze stołecznego ale nie dotkniętego wojną miasta: że dla Lwowian obecnie większą ma wartość mapa teatru wojny i drobny epizod z obozu francuzkiego albo pruskiego, niżeli książka lub jaka ciekawa wiadomość literacka. Uwagę tę nasunęła mi następująca scena. Szedłem do jednéj z księgarń lwowskich, by poszukać nowych publikacji literackich. Przed drzwiami księgarni spotkałem jednego z naszych artystów dramatycznych.

— I cóż nowego w teatrze? — zapytałem, gdyż nie mogłem sobie wytłómaczyć dzisiejszéj przerwy w przedstawieniach naszéj sceny.

— W teatrze wojny? — dodał artysta i jednym tchem wyrecytował mi cały tuzin nowinek pożyczonych u pism niemieckich. Wysłuchawszy długiego sprawozdania tego kurjera wojennego, nie wróciłem już do mego pytania, gdyż obawiałem się jakiego nowego nieporozumienia. Wszedłem do księgarni któréj właściciel zajęty był właśnie rozpakowaniem jakiejś świeżéj przesyłki z księgarni zagranicznéj.

— Otóż w porę przyszedłem — pomyślałem. Masz pan coś ciekawego pewnie?

— O bardzo ciekawą rzecz dostałem właśnie teraz! — zawołał księgarz, a twarz jego opromieniała widoczna radość.

Wziąłem do rąk podany mi jeden egzemplarz téj ciekawéj rzeczy, rozkładam powoli i zamiast książki znajduję w oprawie — mapę teatru wojny.

— Czy oprócz tego — zapytałem — nie masz pan co innego?

— Owszem mam jeszcze kartę wrocławską, bo to jest berlińska. Za kilka dni dostanę mapę z Paryża mówił jednym tchem uradowany księgarz. Nie chciałem dłużéj indagować poczciwca i wyszedłem. Nie dziwię się wcale temu objawowi. Jakżeż może księgarz myślić teraz o książkach, których w téj chwili nikt nie kupuje i dlaczegoż nie wolno mu cieszyć się tak bardzo z transportu map, które rozejdą się w kilku dniach i przyniosą zysk niezawodny.

Gdy ciekawość wszystkich obserwuje w wysokim stopniu wypadki nad Renem, prawie niespostrzeżenie mija wypadek, który najżywsze powinien obudzić współczucie. Przed dwoma tygodniami umarła, w cza-

sie krótkiego swego pobytu pod Poznaniem, żona naszego ulubionego wieszcza Teofila Lenartowicza. Srogo dotknięty tym ciężkim ciosem, a nadto jeszcze trapiony ustawiczną słabością, Teofil Lenartowicz przysłał wiadomość o téj stracie niepowetowanéj napisaną tak rzewnie, że nawet osoby nieznające Lenartowicza do łez pobudzić musi. Jakkolwiek w słowach tych Lenartowicza widać przewagę chrześciańskiéj rezygnacji nad głębokim żalem, to przecież obawiać się należy, by ten dotkliwy cios nie wytrącił naszemu poecie lutni z rąk, które teraz łzy ocierać muszą. A byłoby to wielka strata dla naszéj literatury. Pol utracił wzrok, osłabł i milknie widocznie.

Ujejski umilkł już od dłuższego czasu chociaż właśnie teraz geniusz jego według wszelkich słusznych przypuszczeń, powinien był wzbić się na szczyt potęgi. Pozostał nam był dotąd jeden Lenartowicz ze swym tak wdzięcznym i zawsze świeżym spiewem, ze swą wielką płodnością, któréj dowody złożył niedawno w Bibliotece Richtera, gdzie wydrukował dwa tomy ślicznych poezji p. t. *Ze starych zbroic* i *Album włoskie*. Lenartowicz jest dzisiaj w poezji jedynym Koryfeuszem, tem więcéj więc smucić nas musi już sama obawa, by dotkliwe klęski domowe nie złamały jego ducha.

Inter arma silent musae. Jakkolwiek zdaleka bardzo patrzymy na dzisiejszy teatr wojny, mimo to jednakże powyższe przysłowie łacińskie jest niezłą ilustracją dzisiejszego naszego ruchu literackiego i księgarskiego we Lwowie. Lwowscy księgarze nigdy wprawdzie, z jednym wyjątkiem niezmordowanego Karola Wilda, nie wyszczególniali się zbytnią ruchliwością i energią w przedsiębierstwach zwłaszcza poważniejszych, dzisiaj jednakże ruch literacki osłabł jeszcze więcéj. Wypadki bowiem obecne, które pochłaniają powszechną uwagę, odstraszają księgarzy od zamierzonych przedsiębierstw. Nawet pisma codzienne, które w fejletonach swoich dość często otwierały mały kącik dla spraw literackich, obecnie chętniéj umieszczają artykuły strategiczne niżeli literackie. W miarę wzrostu stagnacji w ruchu księgarskim wzrasta liczba pism. We Lwowie do przesadnéj aż nadto liczby pism perjodycznych, przybywa nowe zapowiedziane już w prospektach na miesiąc bieżący. Będzie to tygodniowy *Przegląd polityczny* do którego dołączyć ma wydawca jako arkuszowy fejleton osobne pismo: *Przyjaciel domowy*. Wydawcą jest p. Hipolit Stupnicki jeden z najstarszych dziennikarzy Lwowskich, założyciel większéj połowy pism wychodzących we Lwowie. Jego *Przyjaciel domowy* z krótką przerwą wychodzi już lat 19 a obecnie z pisma dwutygodniowego przemienić się ma w Tygodnik. Pismo to nadzwyczaj małą ma wartość dla zupełnego braku wybitnego programu. *Przyjaciel domowy* często zasila się przedrukami różnemi, nie ma tyle sił by zostać pismem literackiem, a ludowem znowu być nie chce. Mimo małéj wartości, mimo braku jakiejś wybitniejszéj barwy, pismo to przecież jakby cudem istnieje długo a nadto ma pewny i stały zakres czytelników, który wystarcza na pokrycie wydatków. Jestto szczęście przywiązane jedynie do osoby wydawcy. W ostatnich czasach powstawały i natychmiast upadały różne pisma, w skutek czego zachwiał się kredyt wydawnictw perjodycznych u czytającéj publiczności. Stupnicki nie zrobił takiego zawodu, zastosował zawsze koszta wydawnictwa do małego przychodu z ogromnym wprawdzie uszczerbkiem dla wartości pisma, ale wytrwałością tą zjednał sobie pewną liczbę przywiązanych do niego prenumeratorów — przyjaciół. Kółko to składa się z ludzi należących do klas uboższych, którzy chcieliby coś czytać ale dużo na rozrywkę wydać nie mogą, a tem samem obawiają się zawodu ze strony wydawnictwa. Owoż dla tych ludzi jest *Przyjaciel domowy* z swemi przypadkowemi powieściami przedrukowanemi poezjami i monotonnemi radami gospodarskiemi, pismem pożądanem a p. Stupnicki jest dla nich wydawcą takim, któremu już powierzyć można nawet półroczną prenumeratę.

Może nadto dużo miejsca poświęciłem uwagom nad *Przyjacielem domowym*, ale jestto fakt bardzo charakterystyczny, w którym bodaj czy nie zupełna mieści się odpowiedź na to pytanie, dlaczego publiczność nasza obecnie tak obojętnie wita nowe wydawnictwa perjodyczne, a nawet dawniejszym niedowierza? Jak może wierzyć publiczność nasza w trwałość jakiegoś wydawnictwa, skoro już od roku okpiwają ją systematycznie różni wydawcy, i nieraz za półroczną prenumeratę wyszło zaledwie dwa lub trzy numera z uwiadomieniem, że pismo odtąd zostaje zawieszone na pewien przeciąg czasu. Dowieść mogę jeszcze jednym faktem, że owe na chwilę powstające wydawnictwa budzą w publiczności niechęć do nowych, a niedowierzanie do pism starszych. Przed rokiem rozpoczął p. L. Zajączkowski wydawnictwo pisma humorystycznego p. t. *Szczutek*. Przed nim już kilku humorystów wydawało pisma i zawieszało je po kilku miesięcznem trwaniu ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich prenumeratorów. *Szczutek* powstał z silnym zamiarem trwałéj egzystencji, ale nikt temu nie wierzył i pismo to w całym pierwszym kwartale miało prenumeratorów.... Zgadnijcie, ilu? 27 mówię dwadzieścia siedem! Dopiero po dwóch kwartałach gdy *Szczutek* punktualnem pojawianiem się w oznaczonych terminach dowiódł, że jest wydawnictwem na serjo pomyślanem i zawiązanem, liczba prenumeratorów podskoczyła nagle w trzecim kwartale do 300 a w czwartym do 500. Oczywiście liczba ta już teraz ciągle wzrastać będzie. Owoż nie tyle niechęć publiczności, jak to twierdzą panowie założyciele efemerycznych pism, lecz właśnie ich nieakuratność, złe obliczenie się z siłami wiedzie do upadku pism, a następnie i do odstraszania czytelników od wszelkiéj innéj prenumeraty.

W literaturze naszéj spostrzegać się daje nadzwyczajne ubóstwo i brak monografii o wielkich poetach i pisarzach. Jak mocno ubiegli nas pod tym względem. Francuzi i Niemcy, którzy każdy najdrobniejszy szczegół z życia swych wielkich ludzi, zapisują z nadzwyczajną troskliwością, chociaż posiadają przytem o każdym prawie pisarzu wyczerpujące studja. Przyczyną tego smutnego objawu, jest brak materjałów biograficznych albo raczéj nienależyte korzystanie z istniejących materjałów. Przed kilku laty dostał się do rąk profesora Antoniego Małeckiego, spory plik listów Juliusza Słowackiego i téj okoliczności zawdzięczamy jego wyborne, dwutomowe dzieło o życiu pismach Juliusza Słowackiego.

Nasza scena miała po odjeździe Jana Królikowskiego drugiego gościa znakomitego, panią Helenę Modrzejewską. Pobyt téj artystki we Lwowie był na scenie i po za sceną jednym szeregiem demonstracyjnych objawów sympatji i uwielbienia.

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY

SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

Cynk Florjan. — Eljasz Walery.

Kazimierz Jagielończyk w czasie żarliwéj modlitwy u podwoi kościelnych spotkany przez Długosza, przedstawiony został przez p. Cynka Florjana. Pod względem saméj sztuki, wszystko tu w należytym zostaje porządku. Koloryt ścian, stopni marmurowych, drzwi świątyni, szaty okrywającéj Jagielończyka i Długosza, światło latarki trzymanéj przez tego znakomitego męża, nawet zakratowane okienko w górze, przez które tu i owdzie zdaje się przeglądać światło promieni księżycowych, odrobione są z godną pochwały starannością. Nieuwydatniona tylko jest dobrze pora czasu w jakiéj się scena odbywa. Przedsionek kościelny jest zupełnie widny, cała twarz i postać Jagielończyka oblana światłem jakby letniego południa, tymczasem paląca się latarka w ręku Długosza wyraźnie świadczy, że wziętą została dla posługi w ciemności. Otóż tego przyćmienia, rozpraszanego światłem przez okienko wpadającem i promieniejącem z latarki zupełnie tu nie ma. Jest dzień wyraźny, biały, nawet nie noc księżycowa, latarka zatem zbyteczna. Co do wyrazu twarzy Jagielończyka w kornéj postaci na klęczkach z podniesioną głową a przymrużonemi oczami modlącego się, jest wiele nienaturalności. Nie ma tam zagłębienia się w modlitwie, ale coś teatralnego, jakby chorobliwego. Wprawdzie ascetyzm religijny, nie jest stanem normalnym człowieka, i źródło jego zwykle medycyna oznaczyć potrafi, ale sądzimy że artysta w Jagielończyku nie ascetyzm, ale prawdziwą pobożność chciał przedstawić. Już lepszą znacznie jest postać Długosza; w twarzy jego i w całym poruszeniu znać przynajmniéj zaciekawienie, choć brak znowu oznak genjalności męża, co był najwierniejszym i najulubieńszym doradcą króla, a zaszczytem i chlubą swego kraju.

Ilustracje tego samego artysty do dwóch poematów: Marji Malczewskiego i Konrada Walenroda z prawdziwem natchnieniem są wykonane. W Mieczniku znać zadumanie z niecierpliwością połączone: w Wojewodzie dumę a raczéj pychę typową co tylu nieszczęść społecznych stała się powodem: Halban wpatrujący się w Konrada i wzrokiem tylko nad jego uniesieniem otrzymujący zwycięztwo: Konrad przygaszający burzę w sercu i ulegający rozumnéj woli powiernika, oddane tu zostały z największą prawdą i taką siłą że się dosyć napatrzyć nie można. W obrazach tych znać zapał a nawet prawdziwe natchnienie jak powiedzieliśmy, jakże żałujemy że tego o Jagielończyku powiedzieć nie można.

Pana Schouppe'go; Przeniesienie zwłok Ś. Katarzyny na górę Synay po męczeństwie, należy do prac, które nas godzą z tegoczesnem malarstwem religijnem. Czterech aniołów okrytych długiemi szatami, unosi w powietrznéj przestrzeni zwłoki Świętéj w malowniczéj niezmiernie postaci ułożone. Święta z palmą męczeńską przy boku, w białéj szacie leży na wznak z głową podtrzymywaną przez aniołów. Twarz jéj bardzo piękna, ale nie ziemską pięknością, tylko anielstwem, uszczęśliwieniem, spokojem rozlanym na całéj twarzy. Trupia bladość zwykle wstrętna, tu nietylko żadnéj nie budzi odrazy, ale przeciwnie oko widza nęci i przykuwa. Aniołowie, w postaci młodych dziewic, choć piękni twarzą, przedstawiają oddzielny typ piękności. Przyczynia się to wiele do urozmaicenia obrazu, i nie nurzy jednostajnością wcale niepożądaną. Patrząc na tę piękną pracę artysty, na powietrzną przestrzeń obłokami przyciemnioną, na padoł ziemski w niewyraźnym obrazie poniżéj rozpostarty, czujesz ciszę uroczą, niewysłowioną, ten spokój duszy, jakiego się napróżno w życiu ziemskim poszukuje.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE

Przechowanie śliwek świeżych.

Probowałam różnemi podawanemi sposobami przechowywać śliwki węgierskie, żaden jednak nie doprowadził mnie do pożądanego rezultatu. Przeszłego roku dopiero przy ostatnim zbiorze śliwek, gdy już wszelkie robaczywe miały czas oblecieć, w suchy pogodny dzień kazałam z małemi gałązkami najostrożniéj obcinać, strzegąc ich obetrzeć z farby, tak noszone pod strych przewiewny, za pętliczki do gałązek przyczepione wieszane u sznura rozciągniętego jak do wieszania bielizny przechowują się doskonale. Jeszcze w połowie Grudnia żadna śliwka nie była zepsuta i jak najlepiéj dały się zachować do świąt Bożego Narodzenia. Obcinanie tak małych gałązek bynajmniéj drzewom nie szkodzi.

Stanisława Olszowska.

Ciasto do jabłek smarzonych.

Łyżkę masła utrzeć na misce do białości, wbić żółtek sześć, mąki półtory kwarty, piwa lekkiego kubek, kieliszek araku i tyle mleka, aby ciasto należycie rozrzedzić, naostatek dodać białka ubite na pianę i wymięszać z ciastem jabłka w talarki krajane. — Środki z jabłek wyrzucić trzeba.

KORESPONDENCJA.

Pani Jó. Krzecz. Kaftanik aksamitny kosztuje rs. 36.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego*.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor J. K. Gregorowicz.